Nr. 43. Warszawa, dnia 10 (22) Października 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SPISEK WOJSKOWY.

Dnia 14 b. m. dzienniki paryskie *Aurore*, *Petite République*, *Rappel* i kilka innych rzuciły w odmęt spraw politycznych Francyi wiadomość o spisku uknutym przez generałów. *Aurore* podała ją z większymi niż inne szczegółami: Miano wykonać zamach, nie na prezydenta rzeczypospolitej i samą rzeczpospolitą, ale na gabinet Brissona. Wyjazd ministra wojny, gen. Chanoine'a z Paryża, oznaczony na sobotę d. 15 b. m., uznano za okoliczność sprzyjającą wybuchowi: zastąpiłby go gen. Rénouard, obecny naczelnik sztabu generalnego, a ten był zjednanym dla spisku i przeprowadzić go miał wspólnie z gubernatorem, gen. Zurlindenem. Zamierzano jakoby uwięzić ministrów i zmusić Faure'a do wzięcia sobie innych; skazano na więzienie kilkudziesięciu wogóle ludzi wybitnych ze stronnictwa republikańskiego, aby rządowi nowemu ułatwić dalsze działania, których celem ostatecznym mogło być tylko wywrócenie rzeczypospolitej. Generałowie w ostatnich czasach objawiali dużą ruchliwość polityczną — dodawały organa ostrzegające o niebezpieczeństwie — Pellieux widział się z ks. Wiktorem Napoleonem, inny z generałem jezuitów; inny jeszcze porozumiewał się z Dérouledem, który w restauracyi monarchicznej widzi ocalenie i Francyi samej i Alzacyi. Wszystkie nici zbiegać się miały w gen. Boisdeffre, któremu brzytwa Henry'ego podcięła godność naczelnika sztabu generalnego Francyi.

W Paryżu ani politycy z powołania, ani bulwary, ani giełda, nie doznały z odkryć silniejszego wrażenia. Dzienniki, które ich dokonały, są zwolennikami rewizyi procesu Dreyfusa: stąd domysł, że zmyśliły wszystko, aby, przewidując opór generałów przeciwko rewizyi, z góry zohydzić i ich samych i usiłowania, jakieby podjęli. Doniesienie *Kölnische Ztng*, stwierdzające istnienie zmowy, nie znalazło też wiary, jako wychodzące od innych znowu wrogów Francyi, od Niemców. Milczenie rządu, który przerwał je dopiero w niedzielę przez „Agencyę Havasa,“ utrwalało niewiarę; sama jednak nota agencyi sprawia raczej wrażenie przeciwne: mówi, że coś było, tylko może nie w takim już bujnym rozkwicie, jak na dziennikarskiej bibule. Milczenie rządu nota tłomaczy tem, że byłoby nieroztropnem występować z kategorycznem zaprzeczeniem, dopóki „fakta“ nie są jeszcze „wyjaśnione.“ Były zatem „fakta“ i potrzebne są „wyjaśnienia.“ Zanim dzienniki wystąpiły z odkryciem, już u p. Brissona była deputacya grona republikańskiego umyślnie zawiązanego przeciwko namiętnościom wojskowo - politycznym, aby prezesowi gabinetu wyłożyć, niebezpieczeństwo grożące rzeczypospolitej. Parę tygodni temu już p. Brisson przyznał istnienie jakichś knowań, dodając, że rząd ma otwarte oko i czuwa.

Nagromadzenie wojsk w Paryżu mogło się niepodobać socyalistom, jak usiłuje przekonać opinię „Agencya Havasa“; ale żeby pogłoski o spisku były wręcz tylko zmyślone dla odciągnięcia wojska wezwanego z prowincyi przeciwko współczesnemu bezrobociu kopaczy i innych robotników budowlanych — w to żadna zdrowa głowa nie uwierzy: do wykonania zamachu wystarczyłaby doskonale sama załoga paryska i dowódca jej, Zurlinden. Taktyka milczenia, której rząd do d. 16 b. m. włącznie trzymał się z wytrwałością godną lepszej sprawy — nie odpowiada naprężeniu chwili: mogą sobie bulwary i giełda wzruszać ramionami, mogą i politycy zawodowi do odkrywanych szczegółów nie przywiązywać wagi rzeczywistych wypadków; ale wolno jest także i politykom niezawodowym, wprost tylko ludziom myślącym i dla spraw publicznych nieobojętnym, domyślać się, że rząd, jeśli milczy, to tylko dlatego, iż nie ma odwagi powiedzieć prawdy — i gorzej może nawet jeszcze: lęka się jej dochodzić. Przy takiem usposobieniu, jakie już dostatecznie ujawniło się w procesie Zoli, przy zupełnem zdławieniu sprawy samobójstwa Henry'ego, przy bezwstydzie, z jakim Picquarta do więzienia wtrącono i w więzieniu początkowo trzymano, partya, a raczej fakcya wojskowa, paradująca honorem armii i Francyi, gdy ma bronić tylko samej siebie od zarzutu występków i błędów mogła i samemu rządowi i „cywilom“ pogardliwie odmówić prawa wniknięcia w jej tajniki.

Za „fakt“ w tej, według „Agencyi Havasa“ „niewyjaśnionej,“ a może i wcale jeszcze niewyjaśnianej, sprawie, co uważać powinien rząd, pragnący być rządem, a nie kupą do spełniania pewnych bieżących funkcyj ministeryalnych spędzoną? Faktem być musi każdy opór przeciwko prawu, każde usiłowanie zatamowania jego biegu, każda chęć udaremnienia czynności urzędowych, każda krnąbrność okazana władzy cywilnej, rzeczywistej władzy rządowej, rządzącej Francyą. Aż nadto wiele dowodów nagromadziły wypadki tegoroczne, aby człowiek rozsądny i uczciwy mógł wątpić o trwałem usposobieniu w pewnym odłamie wojska francuskiego do spełniania takich właśnie „faktów.“ Usposobienie to sięga nawet głębiej i dalej. Może być, że dzienniki od początku broniące rewizyi, i samej nawet niewinności Dreyfusa, przesadziły i przedstawiły przygotowania do oporu przeciwko rewizyi

jako przygotowania do zamachu stanu; ale psychologicznie zamach taki ma wszystkie dla siebie dane.

Tydzień polityczny. Wskazówki knowań militaryzmu we Francyi pomnożył o jednę minister oświaty Bourgeois, stwierdzając pośrednio, w mowie publicznej, prawdziwość doniesień dziennikarskich.

Francya w Tulonie dzień i noc uzbraja okręty przeznaczone do Brestu, na demonstracyę przeciwko Anglii o Faszodę, w której wciąż stoi Marchand z chorągwią francuską obok Anglików, zostawionych tam przez Kitchenera. P. Delcassé, min. spr. zagr., z p. Monsonem, posłem angielskim, odbył kilka narad niepomyślnych: Anglia obstaje przy nocie Salisburego z 8 b. m., że wszystko, co miał kalif, już niepowrotnie rozbity, przeszło na własność polityczną kedywa, tj. samej Anglii. Francya nie chce się zrzekać tego, co zajęła. Wojny nie będzie; jest tylko starcie się na ostro; aż do nowego zadarcia zapanuje zgoda: oczywiście, Francya coś może wytarguje, ale ostatecznie ustąpi.

Cesarz Wilhelm dopłynął nareszcie d. 18 b. m. do Konstantynopola. Opóźniła mu drogę burza. Wyjechał z Poczdamu jeszcze 11-go w nocy; 13-go już był w Wenecyi.

W Aleksandryi czyhało na cesarza większe od burzy morskiej niebezpieczeństwo: zamach na życie, teraz już w zupełności wykryty. Jeżeli pierwsze o nim wiadomości noszą datę znacznie wyprzedzającą wyjazd, to bardzo być może, iż zrzeczenie się wycieczki do Egiptu było skutkiem niebezpieczeństwa tam grożącego. Anarchiści, Włosi, którzy urządzili zamach, już po zmianie planu postanowili dosięgnąć cesarza niemieckiego w Syryi, w Palestynie, w samej Jerozolimie.

Przeciwko anarchizmowi europejskiemu zbierze się konferencya europejska w Rzymie, w listopadzie. Zbrodnie anarchistów utracić mają we wszystkich już państwach charakter polityczny i wszystkie państwa zaciągną względem siebie wzajemny obowiązek wydawania sobie przestępców. Szwajcarya, usuwająca cudzoziemców na punkta pograniczne, chce sobie wyjednać zasadę przyjmowania ich bądź przez rządy krajów ich macierzystych, bądź też przez władze pograniczne państw sąsiednich

W przedmiocie konferencyi o zmniejszenie uzbrojeń minister spraw zagranicznych, hr. Murawiew zawitał ponownie do Paryża w d. 17 b. m. Stamtąd udał się do Wiednia na narady z hr. Gołuchowskim.

Dotychczas bardzo źle dzieje się w komisyi kwotowej węgiersko-przedlitawskiej w Peszcie: Węgrzy ani chcą słyszeć o 38%, żądanych przez Przedlitawczyków. Cesarz w myśl konstytucyi rozstrzygnie, ale sprawa to bardzo dla niego, jako króla węgierskiego, drażliwa.

W austryackiej Izbie deputowanych d. 19 b. m. miało się wygadać jeszcze 27 mówców lewicy przeciwko ugodzie z Węgrami. Inna jeszcze sprawa dostarczyła karmi opozycyi: minister sprawiedliwości dał w dwóch wypadkach jakąś odpowiedź, nad którą lewica dopominała się bezzwłocznych rozpraw: większość nie pozwoliła na to.

Cesarz chiński ma być złożonym z tronu uroczyście, w rocznicę urodzin cesarzowej-regentki, 23-go listopada. Posła angielskiego zapewniono, że cesarz zdrów. Oprócz już wiadomych oddziałów, wkroczyli jeszcze do Pekinu Włosi i Japończycy. Ściganie przestępców, reformatorów, nie ustaje. Za kulisami każde mocarstwo usiłuje zapewnić sobie korzystne warunki na chwilę działania.

ŻYCIE SPOŁECZNE

WAŻNA POTRZEBA.

Nasze olbrzymie ognisko życia wielostronnego, skupiające w sobie przeszło 600,000 mieszkańców, w najróżnorodniejszych warunkach pracy i bytu — bardzo jeszcze szwankuje pod względem pomocy lekarskiej. Wielkim postępem nazwać można pogotowie ratunkowe, o którego potrzebie świadczą cyfry codziennego wzywania (po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy na dobę); ale ta jedna piękna i chwalebna organizacya nie usuwa jeszcze innych niedomagań dotkliwych. Do największych z nich zaliczyć można brak szybkiej, stałej i pewnej pomocy lekarskiej w porze nocnej. Wprawdzie zorganizowano od pewnego czasu dyżury nocne w aptekach, ale takie pogotowie jest wadliwe i niewystarczające dla tak znacznej ludności. Z tego względu należy wziąć pod uwagę projekt dr. Zweigbauma, umieszczony w *Gazecie lekarskiej*. Autor proponuje założenie Towarzystwa pomocy w porze nocnej, nie jako instytucyi czysto filantropijnej, lecz opartej na zobowiązaniu prywatnem. Różniłaby się ona od pogotowia ratunkowego tem, że miałaby na celu pomoc nocną w mieszkaniach prywatnych.

Towarzystwo składa się z członków protektorów i czynnych. Pierwszym może zostać każdy, kto się zobowiąże do opłacania stosownej składki rocznej. Członkami czynnymi są lekarze, którzy obowiązani są dyżurować po dwu na stacyi w porze nocnej i stosownie do swej specyalności (terapeuta i akuszer, obeznany także z chirurgią) udawać się na wezwanie do chorego. Takich stacyj czynnych w różnych punktach miasta może być trzy i więcej. Ponieważ trudno będzie, szczególnie z początku, o fundusze na wynajęcie kilku lokalów, więc byłoby bardzo pożądane zużytkowanie lecznic, istniejących w różnych punktach miasta. Pomoc, udzielana przez lekarzy dyżurnych, nie będzie bezpłatna. Chory, stosownie do swej zamożności, opłacać będzie lekarza, a fundusz stąd zebrany wejdzie do kasy Towarzystwa. Zupełnie ubodzy otrzymywać będą pomoc bezpłatnie. Fundusze Towarzystwa powstaną: ze składek członków protektorów, z ofiar, kar itd.; z wynagrodzenia udzielanego lekarzom dyżurnym przez chorych. Pierwsza część funduszów posłuży na wynagrodzenie bezpłatnych wizyt lekarskich, na opłacenie lokalów i służby, na opędzenie wydatków bieżących (dorożki, opał, światło, kupno narzędzi itd.); druga — rozdzielana będzie cztery razy do roku między członków czynnych, stosownie do ilości ich dyżurów. Aby można było liczyć na ten fundusz, jako na stały dochód Towarzystwa, należy się postarać o prawo windykowania należności za pomoc i porady, udzielane przez członków. Do Towarzystwa, jako instytucyi prywatnej, przystąpią tylko ci, którzy z własnej woli zechcą spełniać przyjęte obowiązki.

Dr. Zweigbaum nie jest pierwszym projektodawcą. Przed kilku miesiącami grono lekarzy warszawskich złożyło w urzędzie lekarskim projekt ustawy Towarzystwa dyżurów w Warszawie. Celem jego miała być pomoc o każdej porze dnia i nocy w mieszkaniach prywatnych tudzież lokalach Towarzystwa. Zasadnicza treść zadań tej organizacyi jest następująca *):

*) Według umieszczonej w *Kuryerze Warsz.* notatki dr. Stanisława Bartoszewicza, głównego inicyatora.

Ubodzy mogą korzystać z porady na stacyi lekarskiej i wzywać do swych mieszkań lekarza dyżurującego — bezpłatnie. Lekarze, zaliczeni do składu Towarzystwa, przy otwarciu jego stają się członkami założycielami; nowowstępujący — rzeczywistymi. Nadto, do składu Towarzystwa należą członkowie honorowi, nawet nie-lekarze, którzy opłacają rocznie po 5 rb. na cele instytucyi. Towarzystwo zakłada stacye lekarskie, domy zdrowia, szpitale, lecznice itp., po otrzymaniu pozwolenia władzy. Członkowie czynni obowiązani są odbywać dyżury według regulaminu, opracowanego przez zarząd, a zatwierdzonego przez zgromadzenia ogólne. Lekarz, który nie może przyjść na dyżur, obowiązany jest przysłać innego członka, albo uprzedzić o tem sekretarza zarządu, najpóźniej na 12 godzin przed terminem dyżuru. W pierwszym razie płaci 3 rb. kary. Wszelkie honorarya po potrąceniu kosztów idą do kasy wspólnej, a następnie podzielone będą pomiędzy członków w stosunku do ilości dyżurów.

Projekt takiej organizacyi jest znacznie szerszy, niż p. Zweigbauma; oba jednak wzajemnie mogłyby się uzupełnić. Cały ten plan oraz zabiegi inicyatorów, jak się zdawało, mają wszelkie szanse powodzenia, po pierwsze dlatego, że jest to instytucya niesłychanie ważna, bardzo pilna i potrzebna dla naszego miasta, powtóre — że projekt ustawy wzorowano na przepisach podobnych instytucyj już istniejących w Kijowie i Charkowie. A jednak nadspodziewanie, lekarzy naszych, dbających o dobro i bezpieczeństwo społeczne, spotkała zupełna odmowa. Przypuszczamy, że na przeszkodzie stanęła jakaś drobna formalistyka, nieścisłe zachowanie wszelkich ścieżek kancelaryjnych.

Sądzimy, że odpowiednie wyjaśnienie za pomocą zapytania w sferach wyższych, mogłoby podźwignąć upadłą sprawę Towarzystwa pomocy lekarskiej w porze nocnej. Przekazanie zaś zabiegów nie w ręce osób prywatnych, lecz instytucyi, posiadającej szerokie prawa, tj. Towarzystwu hygienicznemu, mogłoby prędzej i łatwiej doprowadzić do czynu tę organizacyę. Nawet powinno to być obowiązkiem i jedną z gałęzi pracy owego Towarzystwa. Może więc byłoby skuteczniej i właściwiej pod tym sterem zorganizować na zasadach powyższych pomoc lekarską w nocy.

Prawda, że już dziś ona ma przeciwników nietylko w urzędzie lekarskim, lecz nawet śród osób prywatnych. Ale ich dowodzenia są zbyt kruche i błahe. W chwili jednak gdy praca jest w fazie projektów i zabiegów, wystąpienia takie mogą paraliżująco oddziałać na usiłowania i dobre chęci inicyatorów. Dlatego uważamy za stosowne zaznaczyć zdania wypowiadane wbrew potrzebom społecznym: P. Leonard Lorentowicz (zapewne lekarz) w liście otwartym do *Kuryera Warszawskiego* dowodzi, że nowa organizacya pomocy lekarskiej w porze nocnej jest zupełnie zbyteczna, gdyż obecne dyżury w aptekach jakoby wystarczają, że wogóle bardzo mało jest wypadków zapotrzebowania lekarzy w nocy. Naiwnym byłby ten, ktoby uwierzył takim argumen-

tem. Charków liczy zaledwie 180,000 ludności, tj. 3½ razy mniej niż Warszawa, a jednak w ciągu roku ubiegłego 25 lekarzy, członków Towarzystwa, na 365 dyżurach udzieliło pomocy w 644 wypadkach. Ludność Warszawy chyba nie jest przez całą noc pogrążona w śnie hypnotycznym, uwalniającym do potrzeby wzywania lekarzy. Przeciwnie, miasto nasze, ogniskujące natężoną pracę, gorączkę życia dziennego i nocnego, wymaga gwałtownej i pospiesznej pomocy w porze nocnej. Skądinąd wiemy, że liczba niebezpiecznych zachorowań w nocy jest u nas znaczna, stosunkowo może nawet większa niż w Charkowie, zatem właściwie zorganizowana pomoc miałaby wielką pracę. Gdyby nawet wzywano w takim stosunku, jak w Charkowie, wypadłoby przeciętnie przeszło 1,200 wezwań nocnych. Przypuszczamy jednak, że przy rozwoju organizacyi i uprzystępnieniu szybkiej pomocy cyfra ta urosłaby do kilku tysięcy, gdyż wzywanoby lekarzy nietylko w wypadkach niebezpiecznych, grożących na razie życiu, lecz wogóle w gwałtownych a ciężkich przypadłościach, których zdarza się u nas w nocy procent olbrzymi. Wiemy, że bardzo często bliscy chorych niezamożnych nie budzą lekarza w mieszkaniu prywatnem, nawet w razie wielkiego niebezpieczeństwa, bo są przekonani, że lekarz taki albo nie pójdzie, albo będzie kosztował trzy razy więcej, niż w dzień. Dlatego też czekają cierpliwie do rana, kiedy pomoc może już być spóźniona, albo też wzywają felczerów. Niepopularność dzisiejszych dyżurów nocnych dowodzi tylko, że taki środek nie odpowiada istotnym potrzebom. Podobno obecnie dyżury istnieją tylko w dwóch aptekach przy ul. Marszałkowskiej na całe miasto. Czy więc lekarz dyżurny może oczekiwać wezwania z ul. Zakroczymskiej, Przyokopowej, Żytniej, Dzikiej, Powiśla, Pragi itd.? Taka pomoc nie posiada prawie żadnego znaczenia dla ludności przeszło półmilionowej. Ułatwienie to nie zmienia stanu rzeczy, jaki był przedtem. Można przyjechać z Zakroczymskiej do apteki Klimpla lub Barcza na Marszałkowską i nie zastać już tam lekarzy, gdyż akurat tak wypadaie, że będą oni czynni na mieście, skutkiem innych wezwań. Mniej więc czasu i pieniędzy się straci na poszukiwaniu lekarzy w poblizkich mieszkaniach prywatnych. Może tylko spotkać zawód interesowanych z powodu odmowy lub nieobecności poszukiwanego.

Tymczasem Towarzystwo, według wyżej wyłuszczonych zasad, jest to szeroka organizacya społeczna, niezawodna. Mogłaby ona urządzić nietylko ogniska pogotowia w różnych punktach miasta, lecz także stacye telefoniczne, obsługiwane przez stróżów, skąd każdy, za wrzuceniem kilku kopiejek do puszki, na koszt utrzymania tej komunikacyi, miałby prawo wezwać pomocy. Towarzystwo takie byłoby pożyteczne jeszcze pod innym względem. Dałoby pole młodym lekarzom do wyrobienia praktyki i wziętości. Warto więc zakrzątnąć się energicznie i niezwłocznie, ażeby zadość uczynić tej doniosłej i pilnej potrzebie społecznej.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Wybory i połączenie stronnictw. — Irytacya *Dziennika Poznańskiego* i upadek jego wpływu. — Poglądy posła Richtera na stosunki z Polakami. — Rozrost polonizmu w oświetleniu Niemca. — Gdzie źródło siły?

Pospieszamy zaznaczyć wypadek niezwykły i doniosły. Oto dwie fale polityczne społeczeństwa poznańskiego, dotychczas uderzające na siebie, zlały się w jedną: stronnictwo ludowe i tak zwana partya dworska. D. 4 października odbyło się zgromadzenie polskich wyborców miasta, na którem zwycięzko wyszli ludowcy, („secesyoniści"). Zebranie trwało tylko pół godziny. Secesyoniści przybyli w liczniejszym zastępie, niż przedstawiciele stronnictwa narodowego. Po wyborach na kompromisowej liście komitetu znaleźli się: pp. St. Offierski, M. Szczanecki, A. Teski, Teodor Krause, Stefan Chociszewski, Leon Szczawiński, Stefan Barcikowski, Jan Leitgeber, Włodzimierz Adamski, dr Antoni Chłapowski, Hieronim Hoffman, Świątkowski i Stanisław Pfitzner. W głosowaniu cała ta lista przeszła, wobec czego zwolennicy partyi narodowej opuścili salę. Najbardziej tymi wypadkami zmartwiony i zirytowany organ kliki, *Dziennik Poznański*, który przez wiele lat siał niezgodę, knowania i uprzedzenia. Dziś jednak po tym doniosłym fakcie powaga jego zaczyna upadać nawet śród ślepych wyznawców tej płachty drukowanej. Zaślepieni i otumanieni przetarli sobie oczy. Jakto? Młodzi, dziennikarze, obywatele wiejscy, adwokaci, których poglądy polityczne były szanowane, wyrazili swoją sympatyę publiczne dla stronnictwa ludowego?! Skoro tak, trzeba uszanować i to stronnictwo, uznać jego rolę w społeczeństwie. Już dziś ani przewodniczący komitetu powyższego, dyrektor Banku, p. Więckowski, ani dr. Antoni Chłapowski, ani inni członkowie wpływowi nie chcą słuchać *Dziennika Poznańskiego!* Biedaczek starowina chyba żółtaczki dostanie.

Przywódca Niemców wolnomyślnych, poseł Eugeniusz Richter, na zebraniu wyborczem swego stronnictwa w Poznaniu zajął tak znamienne stanowisko wobec polityki antypolskiej rządu pruskiego, że uważamy za obowiązek kronikarski podać jego zapatrywania:

„W kwestyi polskiej zajmujemy zupełnie to samo stanowisko, co przed 5 laty. Ale rząd wtedy inaczej występował wobec Polaków, którzy byli wówczas prawdziwymi patryotami. My nie mogliśmy wcale równać się z nimi. Jakim to dumnym był wtedy p. Kościelski, kiedy wracał z przeglądu okrętów! Projekt wojskowy to sprawił, że Polacy stali się wtedy stronnictwem rządowem. Doznali też wiele dowodów „łaski", np. pozwolono prywatnie uczyć języka polskiego. Dziś zaś Polacy uważani są za gorszych od socyalnych demokratów. W rzeczywistości odnak dziś są oni takimi, jakimi wówczas byli. Nie Polacy są temu winni, że ich się uważa za innych ludzi, lecz winien temu kurs zygzakowaty. My zaś nie postępujemy sobie w polityce tak po dyletancku, pozostajemy zawsze równymi wobec nich, żądamy sprawiedliwości i równouprawnienia dla wszystkich. Tego domagamy się nietylko dla Polaków, lecz nawet dla socyalnych demokratów. Jeżeli w Szwajcaryi żyją obok siebie w pokoju różne narodowości, czyżby to nie było możliwem w wielkiem państwie niemieckiem? I my chcemy strzedz integralności granic państwa, ale nie chcemy mieć nie mieckości ciągle na ustach i tego frazesu nie chcemy używać jako fajerwerku. Konserwatyści cieszyli się, kiedy Bismarck wydalił z granic państwa 40,000 Polaków, i ci sami podnieśli okrzyk radości, kiedy minister pozwolił tylko dwa tygodnie dłużej, niż przedtem, zatrzymać robotników polskich z Rosyi. Wykupuje się za sto milionów majątki z rąk polskich, ale nie można przecież przeszkodzić temu, żeby ich właściciele za swoje pieniądze kupili sobie majątek gdzieindziej, albo, żeby się osiedlili w mieście, kupując sobie tam posiadłość. Bismarck twierdził, że Polacy przegrają pieniądze w Monaco, ale nie sprawdziły się te słowa. Uchwalono nowe sto milionów, ale one nie przyczynią się do osiągnięcia celu zamierzonego. Jeżeli już rozpoczęto rozróżniać narodowości i wydawać prawa wyjątkowe, na czemże to się skończy? Niemcy, którzy mają żony Polki, mają być uważani za równych Polakom."

P. Richter poddaje surowej krytyce cele funduszu antypolskiego 400,000 marek i zaznacza, jak srodze Niemcy się zawiedli na funduszu gadzinowym. „Nie chcemy popierać polityki przeciw Polakom, która zawiodła zarówno na polu kościelnem, jak i socyalnem." Daje ona wprost przeciwne wyniki. Wysoce konserwatywny poseł Puttkamer z Prus Zachodnich powiedział, że chociaż uznaje dobrą wiarę w działalności hakatystów, to jednakże bardzo wątpi, czy osiągną oni cel pożądany. Raczej się przyczynią do tem silniejszej spójni śród Polaków. Zresztą stosunki w ten sposób zaostrzone są poprostu nieznośne. Taki nastrój, coraz bardziej wrogi, nie może się przyczynić do uprzyjemnienia Niemcom pobytu w Księztwie Poznańskiem, a tem bardziej nie przyciągnie innych do tej części państwa. „Nie ja tylko tak sądzę — mówił p. Richter — wielu już wypowiadało takie myśli: wygłaszał je również p. Jaeckel w sejmie. Zupełnie nie pojmuję tej nienawiści, jaką wielu okazuje względem Polaków. Można przecież i bez tego uczucia być dobrym Niemcem.

W dalszym ciągu swego przemówienia p. Richter zwalczał kandydaturę Niemca Lewińskiego z Poznania, który podobno w razie wyboru miał się przyłączyć do zjednoczenia wolnomyślnego. Polecił natomiast p. Kindlera, który następnie zabrawszy głos, zapewniał słuchaczów, że w sprawie Polskiej stoi zupełnie na gruncie swego stronnictwa i solidaryzuje się z wywodami posła Richtera.

Jako przeciwstawienie powyższym poglądom jest alarmujący głos korespondenta z Bydgoszczy w *Deutsche Zeitung*. Ubolewa on, iż nigdzie żywioł niemiecki nie jest tak bardzo zagrożony, jak w Poznaniu, tem ognisku polskiej agitacyi i agitatorów. Dziś Polacy stanowią tam połowę ludności. Jeżeli będą wzrastali liczebnie w stosunku do wzrostu generacyi ostatniej, to następne pokolenie stworzy przewagę Polaków w stosunku dwu trzecich ogółu ludności. Wraz z Poznaniem ulega polonizacyi ogromna część kraju. Obok tego, daje się zauważyć coraz większa skłonność do ucieczki Niemców z prowincyi pozostających pod wpływem żywiołu polskiego. Każdy urzędnik Niemiec, każdy obywatel usilnie stara się o przeniesienie do prowincyj rdzennie germańskich. Ktokolwiek z nich opuści służbę rządową, natychmiast zwija swój namiot i przenosi się na Zachód, dąży ku Berlinowi.

Mieszczaństwo, tj. kupcy, niepomni na wyższe cele polityczne, ulegają pokusom materyalnym i ze względu na klientelę polską, pobłażliwie traktują jej roszczenia, przeważnie wolnomyślne. Są oni bądź życzliwi dla Polaków, bądź też skłonni do zawierania z nimi sojuszów wyborczych i do innych umów podobnych. Tych przeciwników polonizmu, którzy walczą z nim otwarcie, świadomie, jest niewielu.

Korespondent pociesza się, że Bydgoszcz przynajmniej stoi obecnie zdala od wpływów polonizacyi, że tam Niemcy-nieboracy mogą oddychać spokojnie czystem powietrzem niemieckiem, że skutkiem tego zarówno emeryci, jak i dawniejsi właściciele ziemscy chętnie spędzają tam resztki życia swego. Ale pomimo tej pociechy przelotnej, nieszczęśliwego korespondenta trapi zmora przyszłości: „Kto jest optymistą, jak nasz burmistrz, lub kto z miłości do zasady wolnomyślnej uważa za obowiązek utrzymywać dobre stosunki sąsiedzkie z Polakami, wyobraża sobie, że niemieckość niczego już się bać nie powinna i że Polacy, pomimo szybkiego wzrostu w mieście i na przedmieściach, nie będą nigdy czynnikiem decydującym lub nawet rozstrzygającym. Kto jednak rozgląda się uważnie, ten dostrzeże, iż i tutaj stan rzemieślniczy odnawia się i uzupełnia głównie ze źródeł polskich, że wielkie zapotrzebowanie w przemyśle sił roboczych pokrywa się prawie wyłącznie przez Polaków ze wsi, że polska inteligencya i polski stan średni, np. właściciele kamienic, organizują tłumy swych ziomków i przysposabiają ich do świadomej walki narodowościowej. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na stosunki ziemskie w obwodzie nadnoteckim, zobaczymy wszędzie szybki wzrost ludności polskiej a zmniejszenie niemieckiej. Obwód ten dawniej był tylko niemieckim, teraz jest już mieszanym i posiada liczne osady polskie." Szeroki pas ziemi nadnoteckiej pomiędzy polskiemi okolicami Poznańskiego i Prus Zachodnich agitatorowie narodowo polscy zamierzają przepełnić Polakami i dlatego zakupują tam systematycznie posiadłość ziemską; na gruntach, rozparcelowanych przez Niemców, osadzają chłopów polskich. W ten sposób powstaną nieprzerwane okolice polskie od Pucka do Kępna i dalej aż do Mysłowic i Raciborza.

Takie są „bóle miejscowe" Niemców-nieboraków. Bądź co bądź, widzą oni i oceniają siłę żywiołu polskiego, chociaż w różny sposób. Głos Richtera — to trzeźwa polityka niemiecka, która ma na celu branie wyrozumowaną „przyjaźnią" urzędową. Skargi korespondenta z Bydgoszczy — to rozpacz wystraszonego „patryoty," który zdaje sprawę wybornie z odporności i łączności żywiołu polskiego, ale nie umie jeszcze, jak p. Richter, dojrzeć źródła tej siły, która, jak prężność pary, wzrasta w miarę ucisku i prześladowania.

et.

Z GALICYI.

Rada miejska lwowska i namiestnik Piniński. — Co się dzieje na Bukowinie? — Ormianie i Polacy. — Żydzi w Wiedniu i w kraju. — Ankieta żydowska, podjęta przez *Alliance Israelite*

Byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną rozwodzić się nad tem, jak bardzo skrępowane są owe nieszczęsne 33 powiaty Galicyi, dotknięte z powodu rozruchów antisemickich zaprowadzeniem stanu wyjątkowego. Niesprawiedliwość tę — że użyję najłagodniejszego wyrażenia — odczuwają przedewszystkiem włościanie, a ludzie, rozumiejący polityczne znaczenie tego kroku, uważają go za gwałt i ucisk bezpodstawny, bo karać należało raczej tych, który są przyczyną złego, niż tych, którzy zostawieni sami sobie, bronią się środkami, jakie tylko ciemnota i rozpacz dyktuje. Dość powiedzieć, że zbyt długie trwanie stanu wyjątkowego nawet ospałą Galicyę poruszyło i oburzyło. Posypały się z różnych stron protesty — o czem czytelnicy *Prawdy* już wiedzą — teraz Rada miasta Lwowa na jednem z ostatnich osiedzeń powzięła uchwałę, wyrażającą przekonanie całego kraju, można to bez przesady powiedzieć, że stan wyjątkowy jest niepotrzebny, nieuzasadniony, szkodliwy i poleciła prezydentowi zakomunikować tę uchwałę namiestnikowi.

Pod względem obywatelskim i prawnym cała sprawa jest w porządku, a jednak namiestnik uczynił z powodu tego krok nietaktowny i niesympatyczny, a tak wychodzący z karbów życia normalnego, że kilka słów o nim powiedzieć należy. Jest to po prostu nic więcej, tylko zatarg obrażonego urzędnika z własnymi współobywatelami. W tym całym zatargu posiadają pewne znaczenie dwa punkty: najpierw Rada miejska powzięła przekonanie o szkodliwości stanu wyjątkowego, a następnie uchwaliła zakomunikować je namiestnikowi, w celu naturalnie podjęcia starań dla zniesienia tej wyjątkowości, którą, nawiasem powiedziawszy, sam namiestnik wywołał nie dla żadnej potrzeby rzeczywistej, tylko dla przypodobania się stańczykom i uzyskania ich poparcia. Namiestnik, otrzymawszy uchwałę Rady miejskiej, wydał reskrypt, zawierający w sobie, jako ostateczny wynik, te słowa: „zakazuję wykonania uchwały." Właściwie nasuwa się pytanie: czego on życzył sobie i co zakazał? Gdyby był chciał nie dopuścić zgromadzenia, wynalazłszy do tego jakie prawne powody — o które zawsze łatwo — byłaby w tem przynajmniej racya logiczna, ale on zabronił uchwały, tj. czynności, która już została dokonaną. Daremniebyśmy szukali prawnej podstawy tam, gdzie jedynym czynnikiem jest obrażona miłość własna. Niezawodnie, że komunikat Rady miejskiej, chociaż zredagowany zręcznie, był niewłaściwym o tyle, iż poprzednio nikt się w tym przedmiocie z namiestnikiem nie porozumiewał. Całą więc tę sprawę można sprowadzić do zatargu osobistego, tem smutniejszego, że ona była ważna, cały kraj nią interesował się, a namiestnik, który ją wywołał wbrew poważnej większości całego kraju, zamiast zająć stanowisko łagodzące, rozjątrzył jeno osobistą drażliwością. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że stan wyjątkowy został przez ministeryum częściowo, tj. w kilku powiatach zniesiony, a więc trwanie jego nawet rząd uważał za zbyteczne.

Doprawdy, godna politowania ta Galicya wraz z doświadczeniami politycznemi, które na jej skórze się odbywają.

Niezależnie od walki stronnictw, które wpływami swymi demoralizują ludność, rozdrabniają jej siły, osłabiają w walce z innymi żywiołami i zamiast je skupiać, atomizują, Galicya przebywa chorobę wspólną całej Austryi — walkę narodowościową. Pomijam Rusinów, którzy pomimo ustępstw dla swego zupełnie niekulturalnego społeczeństwa stoją na stanowisku wiecznie niezadowolonych opozycyonistów, występują na arenę polityczno-społeczną coraz nowe grupy. Co ważniejsza, że nie można ani ich dążeń, ani zamiarów uważać za akcyę rozumną, polityczną, dojrzałą, ale poprostu za jakieś bezcelowe rzucanie się, bez dokładnej świadomości, do czego ono prowadzi. Najświeższy przykład tego mamy na Ormianach. W całej Galicyi jest ich zaledwie kilkanaście tysięcy, a większość mieszka na Bukowinie, której ogólna ilość mieszkańców nie dosięga 600,000. Otóż Bukowinę tę zamieszkują Polacy, Rusini, Rumuni, Niemcy, Żydzi, Ormianie. Ostatni są kulturalnie najniżsi i oprócz garstki księży, zajmujących wszystkie świeckie stanowiska, gdzie to tylko możebne, nie mają przedstawicieli. Ci, którzy zdołali wybić się na wierzch, jak np. baron Wasilko, służą właściwie Rumunom. Najsilniejsi są Rumuni i Niemcy, bo posiadają własność ziemską, kapitał i liczebną przewagę; do Niemców przyłączyli się Żydzi. Język niemiecki przeważa w szkołach średnich miejskich, a panuje wyłącznie w uniwersytecie czerniowieckim i w administracyi. Dla otrzymania jakichś drobnych ustępstw Rusini i Rumuni kokietują Niemców, a skutkiem tego Ormianie, posiadacze własności ziemskiej, wraz z Polakami tworzyli odrębny klub sejmowy i odrębne stronnictwo w kraju — ormiańsko-polskie. Nie zdziwi to nikogo, jeżeli powiem, że od lat kilkuset Ormianie, jako katolicy obrządku zachodniego, zlali się z Polakami do tego stopnia, że kilkunastu z tych, którzy Galicyę zamieszkują, zna język własny, a kilku zaledwie mówi nim. Dodać muszę, że Polacy i Ormianie rozporządzali równą ilością głosów wyborczych, skutkiem jednak niedbałości własnej w sejmie bukowińskim nie posiadali reprezentacyi, ale stanowili osobną delegacyę w klubie ormiano-polskim. Ostatnimi czasy w odłamie ormiańskim wytworzył się duch separatystyczny i to ze strony tych, którzy stanowiska swoje polityczne winni byli Polakom. Nie znając siły do wytworzenia własnej partyi, ani narodowej, ani politycznej, Ormianie pragną, ażeby dotychczasowe stronnictwo ormiano-polskie przekształciło się na „komitet nienarodowych właścicieli ziemskich," niemający nic wspólnego ze sprawami polskiemi. Niespodzianka ta zastała Polaków bez organizacyi politycznej. Ormianie zajęli w tej sprawie zupełnie takie stanowisko, jak rządowi Rusini, którzy, wysunąwszy się na arenę polityczną dzięki poparciu polskiemu — teraz pragną innej ugody. Zupełnie jak za czasów Chmielnickiego: zwyciężeni podpisywali wszelkie ugody, upokarzając się i przysięgając — ażeby przy pierwszej sposobności przysięgę złamać. Niedługo zapewne usłyszymy, że 20-tysięczny naród ormiański zażąda praw zastrzeżonych mu konstytucyą.

Jeżeli to zachcianki, posiadające charakter interesów indywidualnych, wywoływać mogą tylko uśmiech ironiczny, to budząca się agitacya żydowska godna jest poważnego zastanowienia się. Dotychczas nasi posłowie żydowscy szli łącznie z Kołem polskiem w Wiedniu; było to postępowanie zupełnie uzasadnione i praktyczne. Nie należy kłócić się z tym, w czyim domu się mieszka, a tem bardziej z tym, którego się wyzyskuje. O pewnej wspólności interesów narodowych polskich a żydowskich mowy być nawet nie może na prawdę; takie stanowisko zajmują jedynie Żydzi wykształceni, o ile interes ich nie zmusza stawać po stronie silniejszej. Nie można wymagać, ażeby Żydzi w Galicyi byli innymi. Interes, który nie popłaca, przestaje tu być interesem. Dla szarej masy biednego i fanatycznego żydostwa ani polityczne, ani społeczne dążenia nie istnieją. O żadnej asymilacyi oni nietylko nie myślą, ale wprost traktują ją ze wstrętem; wolą trzymać się pejsów, chałatu i żargonu, który ich różni od „gojów," niż kulturę surdutową. Po nad niezbędne szkoły niższe nie chcą kształcić dzieci, gdyż szkoła zaciera charakter żydowski. Według konstytucyi, nie mają oni narodowego przedstawicielstwa. Dlaczego? Mogą otrzymać. A stanowią siódmą część ludności Galicyi, mają ogromne wpływy, dużo kapitału, silną organizacyę — co wówczas będzie? Gdyby nawet to się im nie udało — czy my jesteśmy pewni, że nie będziemy z nimi prowadzili walki na własnym gruncie? Na to się zanosi.

Gdy w ciągu trzydziestu lat konstytucyjnego żywota Galicyi ludność wiejska doprowadzoną została przez rząd do nędzy, a przez Żydów do rozpaczy; gdy powstały rozruchy, które sparaliżowały

działalność połowy kraju, nikt nie zajął się i nie zajmuje, o ile wiemy, przynajmniej głośno, zbadaniem istniejącego stanu i położenia tej ludności, ażeby ją ze szponów wyrwać i na przyszłość bronić; przeciwnie, dużo pośród naszych stańczyków jest takich, którzy cieszą się ciechutko z tego wzięcia w kluby chłopów. Żydzi inaczej postąpili. Nietylko narobili wrzawy na temat prześladowań, ale znaleźli dobrodziejów, interesujących się sprawami obcego państwa bardzo szczegółowo — w imię obrony Żydów. *Unia izraelska* — czy może tylko jej filia wiedeńska — wystosowały do rozmaitych posłów polskich pytania, które następnie będą przedstawione zwołanej komisyi. Z naszych polskich posłów zaproszenie przyjęli pp.: Górski, Gniewosz, Milewski, Szczepański, Daszyński, Kozakiewicz, Stapiński, Byk, Rosenstok, Rosenblatt i Goldhammer. Nie chcę zastanawiać się nad doborem posłów, wspomnę tylko, że ci panowie, którzy przyjęli zaproszenie — mojem zdaniem słusznie, jeżeli skorzystają ze sposobności i bodaj trochę wyjaśnią sprawę chłopsko-żydowskiego zatargu — nie pomyśleli wcale o zwołaniu ankiety w celu wyjaśnienia nędzy śród ludu.

Pytania podzielone są na trzy grupy. Pierwsza obejmie stosunki ekonomiczne i zarobkowe ludności żydowskiej; druga—stan kulturalny; trzecia — polityczne położenie w Galicyi. W trzeciej grupie jest środek ciężkości całej ankiety. Co sądzić — mówi kwestyonaryusz — o ekonomicznej i społecznej przyszłości Żydów galicyjskich, jeśli się dalej będzie trwało w bierności wobec grożących stosunków? Czy zorganizowanie Żydów galicyjskich nie byłoby stosownym środkiem, a jeżeli tak, to czy ma nastąpić organizacya na podstawie politycznej, narodowej, czy wyznaniowej?

Są to pytania, na które nie trudno znaleźć odpowiedź. Organizacya Żydów może nastąpić tylko na podstawie politycznej i wyznaniowej, to znaczy, że Żydzi mogą wystąpić z Koła polskiego i utworzyć odrębną grupę polityczno-wyznaniową i reprezentować będą — stronnictwo opozycyjne, pozostające w walce z własnem społeczeństwem. Będę bardzo szczęśliwy, jeżeli domysły moje okażą się błędnymi.

Cho.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Fanatyk kowieński.

W postępie moralności odbywa się ciągły proces krystalizacyi, którego wynikiem jest prawo. Nie są to bowiem dwie rzeki, wypływające z odmiennych źródeł i w przeciwnych kierunkach, ale jest to jedna rzeka uczuć i zasad, która co pewien czas osadza kryształy, służące ludziom za normy, według których układać się winny ich stosunki. Pomimo wszakże tej wspólności pochodzenia między etyką a prawem zachodzi różnica stanów i okresów rozwoju. Podczas gdy pierwsza — że tak powiem — utrzymuje owe uczucia i zasady w stanie płynnym, drugie — nadaje im postać stałą. Pierwsza skutkiem dopływów i domieszek zmienia ustawicznie swój skład i bieg, drugie — pozostaje bardziej nieruchomem. Jeśli użyjemy innego porównania, rzec można, że życie moralne jest to las, który ciągle rośnie, a z jego budulców powstają domy ustaw, które nie rozwijają się, przeciwnie starzeją i co pewien czas wymagają naprawy, przeróbki lub gruntownej przebudowy z materyału w tym lesie. A więc etyka ciągle prześciga prawo, wyrabia dla niego pojęcia i reguły, które odlane w formie kodeksów służą jako regulatory postępowania ludzkiego. Czy tak będzie zawsze? Znakomici filozofowie nowocześni, jak Höffding, Guyau i inni, przypuszczają, że kiedyś nawet etyka zniknie, gdyż ludzie dojdą do takiej doskonałości charakterów, że wszelkie krępowanie ich woli regułami zewnętrznemi okaże się niepotrzebnem—innemi słowy — każdy będzie *chciał* tylko *moralnie*. Nie rozstrzygając zagadki w tak odległej przyszłości, dziś na podstawie faktów nam znanych i domniemań uzasadnionych przewidywać wolno, że odstęp między idącą przodem etyką a podążającem za nią prawem będzie coraz bardziej się zmniejszał i wreszcie zniknie, a oba te systematy reguł zleją się w jeden. Obecnie mamy jeszcze dwa. Każdy też wypadek, podlegający sądowi sumienia i ustaw, przechodzi przez dwie instancye i wywołuje bądź zgodne, bądź sprzeczne ich wyroki.

Znane jest czytelnikom *Prawdy* odkrycie okrucieństw ks. Bilakiewicza w Kownie, które narobiło w naszych i rosyjskich gazetach tyle wrzawy. Według sprawozdań dziennikarskich, wzywał on do siebie ludzi, których uważał za wielkich grzeszników, napominał, bił, zamykał w podziemiach kościoła śród trumien mniszek, używając tych środków jako kary i jako sposobu sprowadzania ze złej drogi. Wobec prawa jest to przestępstwo, przewidziane w kodeksie jako znęcanie się i zagrożone pozbawieniem praw szczególnych z wysyłką na Syberyę lub do rot aresztanckich. Naturalnie dla sądu i dla każdego sumienia najpierwszem do rozstrzygnięcia jest pytanie: jakie pobudki i jakie cele miał ks. Bilakiewicz, dopuszczając się owych wykroczeń? Pomijamy odpowiedź jednego z dzienników, trudniącego się specyalnie wbijaniem przy każdej sposobności haków do zawieszania na nich manekina sławnej „intrygi“; ani niepoczytalność umysłowa, ani drgawki polityczne, ani pląsawica wyznaniowa, ani zaciekłość obłudnego katonizmu przeciwko Kartaginie nie dają nam argumentów godnych poważnej rozprawy. Zagadnięty w tej sprawie przez korespondenta prokurator odrzekł: Bilakiewicz jest ograniczonym fanatykiem. Rozwińmy sobie to trafne określenie szczegółami dotychczas ujawnionymi.

Według zgodnych doniesień prasy, Kowno i wogóle szeroki krąg tej okolicy jest dotknięty zarazą niemoralności. Zwłaszcza rozpusta postępuje tam zatrważająco. Rozlewa się ona po tych nawet warstwach, do których dawniej przesiąkała tylko wyjątkowo. Widzą ten smutny objaw wszyscy, widział go również ks. Bilakiewicz. Cichy, zamknięty w sobie, surowy asceta, uznał za swój obowiązek i posłannictwo podcięcie korzeni złemu. Gdy nie pomagały lub nie działały natychmiastowo przestrogi i karcenia słowne, zaczął uciekać się do środków, stosowanych w tej epoce historycznej, do której on duchem swoim należał. Był to bowiem fanatykiem średnich wieków. Odciąwszy się samotnością od stosunków z życiem współczesnem, karmił swą duszę ideałami tej żarliwości religijnej, która zrodziła okres inkwizycyi. Prawdopodobnie znalazłszy się we właściwym czasie, byłby śpiewał *Te Deum* po rzezi Albigensów lub nocy św. Bartłomieja, byłby pisał, jak Tertulian, że najwyższą dla niego rozkoszą będzie widok męczarni niedowiarków w piekle, pławiłby czarownice i podpalał stosy. W warunkach obecnych ani jego imaginacya nie mogła się pieścić takimi obrazami, ani troskliwość religijna wyrażać w takich okrucieństwach. Jedna i druga musiały zmaleć o całą różnicę między kulturą nowoczesną a średniowieczną. Zamiast wielkiego inkwizytora wyrósł mały dręczyciel grzeszników.

Badacze historyi już dawno zdjęli klątwę z pobudek i pozostawili ją tylko na czynach Inkwizycyi. Torkwemadowie i Arbuezi byli to straszni tyrani i kaci ducha ludzkiego, którzy opóźnili postęp umysłowy Europy o kilka wieków. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że oni popełniali swe okrucieństwa w dobrej wierze. To znaczy: byli przekonani, że Bóg żąda od nich torturowania i zabijania niedowiarków, że tym sposobem wytępią kacerstwo, a nawet pomogą swym ofiarom do złagodzenia męczeństwem na ziemi kar w piekle. Jeżeli zaś z tego stanowiska możemy oczyścić pobudki tak okrwawionych rzeczników, o ileż łatwiej pojąć dobre intencye skromnego wikaryusza w Kownie! On także chciał zwalczyć zepsucie, on także sądził, że należy na głębokie rany położyć plastry gryzące. Dodać trzeba, że to zepsucie było rzeczywistem, a owe plastry okazywały się nieraz skutecznymi. Ascetyczny marzyciel stracił z oczu wszystkie groble i tamy prawne, ograniczające swobodę działania jednostki nawet w kierunku umoralniania, zapatrzył się wyłącznie w swój cel, w dobro tych, których chciał ratować. Umysł realny, z warunkami życia i pracy kapłańskiej obznajmiony, pamiętałby, że mu ich łamać nie wolno; ks. Bilakiewicz zapomniał o kodeksie, o obowiązkach i prawach swego zawodu, widział tylko grzeszników na ziemi i zagniewanego Boga w niebie. Nie stwierdzono, ażeby on kogokolwiek odwodził od jego wiary, ażeby zmuszał do przyjęcia innej, ażeby znęcał się nad opornymi, ażeby gwałcił sumienia, ażeby wogóle nawracał okrucieństwem; nie, on tego nie robił, usiłował jedynie leczyć ze złego własną owczarnię. Osobiście, oprócz wewnętrznego zadowolenia, nie osiągnął żadnej innej korzyści i po za religią nie wysługiwał się żadnej rachubie. Był i pozostał biednym, nie mógł nawet liczyć na żadne odznaczenie, gdyż bił, więził, teroryzował niepoprawnych skrycie.

Zapewne, jedynie pożądanym i szacunku godnym księdzem w społeczeństwach nowożytnych może być tylko ksiądz Chrystusowy, który w sercach ludzkich szczepi miłość i sciera z nich skazy bezmierną dobrocią. Dla okrutników religijnych niema już dziś miejsca i roli. Ale i oni powinni być sądzeni według swych celów i im służy obrona owych wielkich słów: „przebaczcie im, bo nie wiedzą, co czynią.“ Chrystus nie przebaczał tylko Faryzeuszom. Ks. Bilakiewicz Faryzeuszem nie był, popełniał nadużycia szczerze, z głęboką wiarą w ich potrzebę i pożytek.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

DO CHARAKTERYSTYKI NASZEGO LUDU.

I.

Z pokaźną pracą wystąpił w r. 1893 nieznany u nas dotąd ludoznawca. Jej tytuł był: „Lud nadrabski.“ Autor zwał się Jan Świętek. Wielki, 725 stron liczący tom traktował o gromadzie ludu polskiego, osiadłego nad średnim biegiem Raby, galicyjskiego dopływu Wisły.

Na oko już książka okazywała się poczytną. Poznawszy jej treść, czytelnik nie doznawał zawodu. Była tu mowa o zajęciach ludu nadrabskiego, o jego domostwie, stroju, pożywieniu, cechach zewnętrznych i duchowych. Sześćdziesiąt stron wielkiej ósemki zajmował opis zwyczajów i obyczajów, prawie tyleż opis obrzędów, po sto pięćdziesiąt stronic liczyły pieśni, klechdy i wierzenia ludowe. W końcu pomieszczono dane z lecznictwa ludowego, rozdział o zabawach, zagadki, przysłowia i słownik.

Istniały w nim i braki. Autor nie dał wiadomości geograficznych, historycznych, ani statystycznych, choć dla zaokrąglenia obrazu były one niezbędne. Do opisu domu i narzędzi gospodarskich potrzeba koniecznie rycin, inaczej materyały tracą wiele na wartości. „Lud nadrabski“ nie zawiera prócz lichej fotografii grupy Nadrabian ani jednego obrazka. Wina to w części wydawczyni: Akademii krakowskiej, zaniedbującej zupełnie część rysunkową w dziełach ludoznawczych. Pod względem układu można byłoby także wytknąć nieco.

Ale wobec całości wady te znikły. Polskiemu ludoznawstwu przybywała nowa, pożądana siła. Od śmierci Kolberga bodaj że nikt nie ujawnił tyle skrzętności.

Kilka miesięcy temu Świętek ogłosił w Krakowie nową książkę, której treść zasługuje na wyróżnienie nietylko w pismach zawodowych, ale i w przeznaczonych dla szerszej publiczności. Pod wielu względami jest ona nowością w naszej literaturze i wypełnia brak, jaki dawał się uczuć oddawna. Nadto, jak mało prac dotąd, odsłania życie wewnętrzne ludu polskiego, pozwala naukowo stwierdzić rozmaite cechy naszego włościanina, umożebnia nawet do pewnego stopnia nakreślenie jego bilansu moralnego. Prawda, że dotyczy jednej tylko grupy, ale gdybyśmy więcej takich monografij posiadali, moglibyśmy powiedzieć, że poczynamy kierować się zasadą Sokratesa i kapłanów egipskich: „poznaj siebie.“ Pod względem naukowym książka ta może posłużyć do przeprowadzenia porównań z innemi częściami ludu polskiego.

Przedmiotem jej (a zarazem i tytułem) są „Zwyczaje i pojęcia prawne ludu nadrabskiego.“

Nie będę zatrzymywał się tutaj nad niektórymi szczegółami, dotyczącymi zawodowego obrobienia materyałów. Mimo pewnych usterek w układzie lub wykładzie, mimo wreszcie kilku błędów językowych (np. często „w regule—in der Regel — zamiast „zwykle“), nowa praca Świętka należy do najlepszych, jakie wydał folklor europejski ostatnich lat w zakresie społeczno-prawnym.

Rozpada się na cztery części: dwie („Rodzina,“ „Społeczeństwo“) obejmują, że tak powiem, zwyczajowe prawo cywilne, dwie („Przestępstwa“ i „Proces“) prawo karne.

Pierwsza część więc dotyczy: stosunków rodzinnych we wzajemnem pożyciu, stosunków między rodzicami i dziećmi, małżeństwa, ostatniej woli i testamentu, zwyczajów spadkowych i opieki.

Z przytoczonych opisów przekonywamy się, że poziom moralny naszego ludu w tym względzie nie przedstawia się tak nizkim, jak wielu mniema i głosi.

Niekiedy wydaje on mi się doprawdy wyższym, niż w klasie surdutowej. Biorę wyjątek o niezamężnych matkach, zwanych nad Rabą „przeskoczkami.“

„Przeskoczki, oswoiwszy się ze swym sromem, są wcale dobremi matkami dla własnych, nieślubnych dzieci. Otaczają je czułą opieką, nie zapominają o nich ani na chwilę, dla nich nawet odejmują sobie od ust ostatni kęs chleba, a jeżeli „idą w mamki“ lub na służbę do Krakowa, to zwykle cały swój dochód obracają na utrzymanie dziecka, które zazwyczaj na ten czas oddają na wychowanie jakiejś karmiącej we wsi kobiecie.“

Mogłyby sobie brać z nich wzór nasze balówki, chore na nerwy i na grymasy.

I stosunek pracodawcy do pracownika jest często nienaganny:

„Nawet u najzamożniejszych gospodarzy nie widać chęci górowania nad najemnikiem i okazywania mu swej wyższości. Obchodzenie się pracodawcy z najemnikiem jest uprzejme w całem znaczeniu tego wyrazu. Ani jedna, ani druga strona nie ma zazwyczaj powodu do jakichkolwiek skarg i żalów. Pracodawca, zastrzegając sobie wolność w zarządzaniu robotą, żąda od najemnika pilności, porządnej pracy i należytego wykonywania wskazówek, zresztą jest z nim na zupełnie poufałej stopie. Chętnie z nim rozmawia, dzieli swe uwagi i spostrzeżenia i nawzajem je od niego przyjmuje, wywnętrza się przed nim czasem nawet ze swemi uczuciami i nie gardzi wcale jego radą. Po pracy zasiada najemnik do jednego stołu z pracodawcą i je z nim z wspólnej misy. Zauważyć trzeba, że przy jedzeniu domownicy, a nawet własne dzieci pracodawcy wobec najemnika schodzą na plan drugi; najemnika uważa się niejako za gościa: o jego należyte przyjęcie już zawczasu gospodyni się troszczy. Najżywsza i najweselsza pogadanka toczy się właśnie przy obiedzie, do którego zasiadają najemnicy.“

Ale znalazłem się już w drugiej części: „Społeczeństwo.“ Podaję więc jej treść.

Autor traktuje o rodach, o różnicach stanowych, o służbie, najmie, spółkach i robotach wspólnych, o życiu prywatnem i publicznem. Przedmiot bogaty.

W rozdziale o rodach są bardzo ciekawe dane, dotyczące przezwisk. We wsiach nadrabskich każdy włościanin posiada dwa nazwiska: jedno, pod którem jest zapisany w księgach państwowych, drugie, pod którem wyłącznie prawie znają go we wsi. Niegdyś, gdy wciąganie do ksiąg nie ustalało nazwiska w rodzinie, syn nosił inne, niż ojciec, bo jakaś właściwość lub wypadek wpłynęły na nadanie mu nowego miana.

Zabawną jest najczęściej geneza przezwisk. Chojnacki ma zwyczaj wtrącać w swoją mowę często zgłoskę *da*. Więc dziś słynie we wsi Targowisko tylko jako Da-wi-da-cuś. Inny „szczególniejsze znajduje upodobanie w pogadance z kobietami.“ Nazywa się przeto, nie jak w metryce Świeboda, ale „Babecka.“ Ów (Włodarczyk) „dla skąpstwa, a nader częstych nawoływań dzieci i krewnych do oszczędności,“ zwie się teraz „Japtykarz.“ Rzadziej syn dziedziczy przezwisko po ojcu: ojciec Wontorka śpiewał piosenkę, gdzie powtarzało się słowo „grajcar“—przeszło ono na potomka.

Zaznaczę bardzo ważny rozdział o spółkach. Dowodzi on, że w ludzie tkwi wiele zamiłowania do łączenia się przemysłowo-handlowego.

Świętek podaje cały szereg objawów jednoczenia się włościan nadrabskich bądź dla wspólnych robót, bądź w postaci spółek. Objawy te niekiedy mają cechy zaczątków, ale zasługują mimo to na uwagę.

W Targowisku zawiązało prawnie dwóch gospodarzy spółkę z równym udziałem. Jeden z nich nabył dwie morgi torfowiska we wsi Szarowie, drugi kupił maszynę do krajania torfu. Robotnika płacą w równej mierze; obaj też mają wspólny obowiązek naprawienia maszyny w razie jej uszkodzenia. Zyskiem osiągniętym z rozprzedaży torfu dzielą się w równych częściach.

W innych wsiach spółka nabywa sprzęt siana. W Chełmie i Siedlcu włościanie wydzierżawiają łącznie prawo rybołówstwa na pewnej przestrzeni Raby.

Każdy taki związek sprzedaje złowione ryby, a uzyskanemi pieniędzmi dzielą się członkowie w równym stopniu. Do ponoszenia kosztów także zobowiązani są w równej mierze. „Może atoli i każdy ze związkowych, skoro innym przeszkadza jakie zajęcie, zastawiać sieci ze wspólnej łódki na własną rękę, byleby tę pracę wykonywał własnemi siłami i w przyszłości nie powstawał przeciw temu, gdyby który z pozostałych wspólników kiedyindziej w ten sam sposób dla siebie łowił ryby.“

Spólnie biorą także niekiedy w dzierżawę chałupnicy i zagrodnicy kilka morgów gruntu od jednego właściciela.

Przed kilkunastu laty łączyli się gospodarze w niektórych wsiach nadrabskich dla zakupu słomy, którą na zamówienie odstawiali w Wadowicach do papierni. W Targowisku, Pierzchowie i Klaju łączą się olejarze.

Rozpatrzywszy się dokładniej w życiu społecznem Nadrabian—powiada J. Świętek — nabywa się przekonania, że wielce cenią oni spółki i związki we wszystkich swych stosunkach roboczych. Skupiają swe siły w ogólności prawie zawsze tam, gdzie wspólność interesów, wzajemne obowiązki i stosunki sąsiedzkie tego wymagają. Łączą się w spółkę z własnego popędu dla wywożenia stawarki ze stawów i sadzawek gminnych na swe własne grunty; łączą się w liczbie dwóch, trzech lub czterech do naprawiania i szutrowania dróg dojazdowych, kopią i podbierają studnie, zwykle w tej samej liczbie, w jakiej czerpią wodę, „grodzą“ wspólnem staraniem i wspólnemi siłami płoty graniczne, pomagają sobie wzajemnie przy zwożeniu budulca, przyprzęgają wzajemnie konie przy wywożeniu większych ciężarów pod górę lub w celu przejazdu przez miejsca, trudne do przebycia, dodają sobie koni przy wywożeniu gnoju w pole lub zwożeniu siana do gumna, łączą się dla wspólnego bicia tam w Rabie, a jeśli Raba zmienia łożysko, z własnego popędu robią starania u właściwych władz, aby im wolno było wykonać przekopy dla sprowadzenia rzeki do dawnego jej miejsca. Wreszcie skupiają swe siły w celach zarobkowych przy większych pracach, niecierpiących zwłoki.

Z tych zjednoczeń zarobkowych zasługują jeszcze na wyszczególnienie dwa głośne związki drenarzy ze wsi Targowisko. Jeden, dawniej pod przewodem Wincentego Stokłosy, dziś Grzegorza Korbuta, doszedł do większego znaczenia i uzyskał nawet dla swego „przodownika“ stałą miesięczną zapomogę ze strony Wydziału krajowego we Lwowie. (Czyn bardzo chwalebny). Oba związki w razie potrzeby łączą się w jeden.

Każdy z nich dzieli się na tak zwane „party.“ Tych part jest zwykle cztery, a może ich być i więcej, stosownie do potrzeby. Pod kierunkiem swego przewodnika, a raczej „majstra,“ wynajmują się do dworów bliższych lub dalszych, które ich usług potrzebują przy drenowaniu gruntów. Dość często drenarze z Targowiska zapuszczają się na wezwanie nawet w okolice Warszawy. W skład każdej partyi wchodzi czterech „chłopów,“ których czynność zasadza się na kopaniu rowu drenowego; do jednej zaś lub dwu part przeznaczony jest tak zwany „zawalacz.“

Po skończeniu pracy dzielą się zarobkiem w ten sposób, że gdy parta bierze np. po 14 centów od sążnia rowu, z tych pieniędzy przypada po 3 centy na kopiących rowy, a cent na zawalacza. Pozostały cent dostaje się przodownikowi, który w związku drenarzy ma największe korzyści, bo oprócz tego udziału we wszystkich partach otrzymuje jeszcze dzienną zapłatę od dworu w kwocie jednego reńskiego i pożywienie.

(D. n.)

LITERATURA I SZTUKA.

ŚMIECH I IRONIA.

Śmiać się— to znaczy czuć się wyższym. Równość praw, na których ustrój społeczny coraz bardziej się opiera, wywołuje śmiech, jako obłudę słabości. Niedaleki jest czas, kiedy spotykać będziemy tylko uśmiechnięte maski. Zwykle za przyczynę śmiechu uważa się radość. Jest to jednak złudzenie: radość może być poważna, a zresztą śmiech może towarzyszyć smutkowi lub nawet rozpaczy. Rozpowszechnionem jest także mniemanie, iż wszystko, co jest niezwykłe, niezgodne z przyzwyczajeniami naszego umysłu, wywołuje śmiech — np. przechadzka spokojna psa w kościele podczas nabożeństwa. Ale ileż to jest rzeczy niezwykłych, które bynajmniej nie są śmiesznemi: np. sztuki prestidigatora wywołują podziw, ale nie śmiech. Hegel szukał jego przyczyn w kontraście: „Śmiech— powiada — jest oznaką, iż jesteśmy tak rozumni, że zdajemy sobie sprawę z kontrastu.“ Ma to być skutek spotkania się w naszym umyśle dwóch myśli sprzecznych, które wzajemnie się wyłączają. I w tej teoryi, jak w poprzednich, tkwi wiele prawdy, nie wyczerpuje ona jednak wszystkich wypadków. Widok człowieka słabego lub kaleki obok ludzi zdrowych i pięknych, nie wywołuje śmiechu. Czarne pismo na białym papierze jest kontrastem, ale śmiechu nie wzbudza. Wreszcie Bain szuka jego źródeł w poczuciu degradacyi. Śmiejemy się, gdy w człowieku lub rzeczy poważnej widzimy jakąś stronę słabą, drobną, poniżającą. I to niewątpliwie bywa, ale ileż to razy w takich wypadkach zamiast się śmiać, jesteśmy wprost zasmuceni!

Najgłębszą dotychczas teoryę śmiechu rozwinął Melinand. Gdy pewna rzecz z jednej strony wydaje się nam niedorzecznością, ale jednocześnie z drugiej jest zupełnie naturalną, myśl wchodzi w stan spazmatyczny, zwany śmiechem. Fechner podaje przykład człowieka, który, chcąc się kąpać, zanurza laskę w wodę, aby się przekonać, iż temperatura jest odpowiednią. W pierwszej chwili wygląda to naturalnie i dopiero wówczas, gdy zrozumiemy, iż człowiek ów chciał użyć laski zamiast ręki, zaczynamy się śmiać. Śmiejemy się zwykle, gdy ktoś się włamuje, z wielkim wysiłkiem, w drzwi otwarte. Tak samo, gdy klown w cyrku stara się podnieść z udanem zmęczeniem olbrzymi ciężar, który okazuje się w środku pustym. We wszystkich tych wypadkach postępowanie tych ludzi wydaje się bezmyślnem, ale bystra refleksya pokazuje, iż jest ono jednocześnie naturalne: myślimy, iż człowiek dany uważa drzwi za zamknięte, albo że w oczach klowna ciężar jest z pozoru prawdziwym ciężarem. Wysiłek ich zdaje się być usprawiedliwiony. I wówczas się śmiejemy. Tak samo chrapanie czyjeś na poważnem zebraniu lub drobny człowiek, który się schyla, wchodząc w drzi daleko wyższe od niego. Zawsze strona niezwykła i normalna muszą iść razem. I dlatego umysły powolne spóźniają się w śmiechu, gdy po kilku chwilach spostrzegają stronę niezwykłą rzeczy, po naturalnej. Nie śmiejemy się ze sztuk magicznych dlatego, iż obok ich strony niezwykłej nie spostrzegamy naturalnej. Śmiejemy się dopiero wówczas, gdy sztuka się nie udaje i spostrzegamy, w jaki sposób chciano nas oszukać. Wszystko, co pomaga do łatwiejszego spostrzeżenia tych dwu stron, zwiększa energię śmiechu, nie będąc jego przyczyną — powiada Melinand. Do tych warunków należą: zdrowie fizyczne, pozwalające mózgowi pracować energicznie, młodość, dla której wszystko jest nowem i budzi zainteresowanie.

Nareszcie powodzenie, zwycięztwo, wywołują w nas skłonność do śmiechu. Fakt ten jest tak uderzający—powiada autor— iż niektórzy filozofowie szukali w nim samym przyczyn śmiechu. Tak Hobbes powiada: „Śmiech jest dumą przelotną, wypływającą z tego, iż naraz spostrzegamy swą wyższość w porównaniu z niższością innych, albo też z naszą własną dawniejszą słabością.“ W rzeczywistości jednak zwycięztwo, powodzenie pobudza tylko nasz umysł, który pod ich wpływem łatwiej spostrzega. Odwrotnie umysły ociężałe, ospałe, mało się śmieją. Niezdolność do śmiechu może być dowodem ubóstwa umysłowego.

A zatem, im więcej rzecz wydaje się nam niezwykłą i zarazem naturalną, tem bardziej się śmiejemy. Im mniej jesteśmy w stanie spostrzegać różne strony rzeczy, tem mniej się śmiejemy. Rozwijając w dalszym ciągu myśl Melinanda, możnaby powiedzieć, że śmiech pochodzi z połączenia w naszym umyśle dwu stron rzeczy, z bystrego pojmowania. Wieść radosna, którą nagle otrzymujemy, wywołuje śmiech. Czyżby nie można stąd wyprowadzić wniosku, iż akt pojmowania jest przyjemnością, pewnem wyładowaniem napiętej energii? Istotnie, Lipps *) przytacza następujący przykład: Zebranie wyczekuje z natężoną uwagą przybycia poważnej osoby. Naraz drzwi się odmykają powoli i wpuszczają pieska. Obecni zaczynają się śmiać. Czemu? Gdyż dusza przygotowana jest do zajęcia się przedmiotem ważnym, a znajduje natomiast nieznaczny. Tak odbywa się przyjemne wyładowanie energii. Istotne przyczyny śmiechu wyjaśni nam kiedyś fizyologia, tymczasem musimy się zadawalać tem, które podaje psychologia.

Ironia pochodzi od wyrazu greckiego εἰρωνεία, który znaczy zapytanie, a raczej pytanie udające nieświadomość. Tego sposobu używał Sokrates w walce z sofistami. Stawiał pytania, udając głupca, prosiło wyjaśnienia z pozornym szacunkiem dla tych mistrzów retoryki, którzy nie omieszkiwali, często z nazbyt pospieszną naiwnością, wpadać w zastawioną pułapkę. Sokrates zaplątywał ich w sieci sprzeczności bez wyjścia, aby wykazać fałszywość ich dyalektyki, opartej na zasadach znikomych.

Przykłady „ironii sokratycznej,“ przytoczone przez Platona i Ksenofanta, są zwykle u pierwszego daleko bardziej dobitne, często okrutne w zwycięztwie. U Ksenofanta są raczej dobroduszne i skromne.

Ironia jest od samego początku sposobem szydzenia, za pomocą którego powiadamy rzecz wprost odwrotną od tej, którą chcemy powiedzieć. Sokrates był zimnym mistyfikatorem. Ironia jest umyślnem i uśmiechniętem kłamstwem, często zawartem tylko w akcencie lub budowie zdania, które pokazują, iż nie mówimy poważnie. Według Pascala, pierwsze słowa, z któremi Bóg się zwrócił do Adama po jego upadku, były ironią. „Potem jak Adam stał się nieposłuszny w nadziei, którą szatan mu wszczepił, iż stanie się podobnym do Boga, Bóg — według Pisma Świętego — uczynił go poddanym śmierci i szydził zeń temi słowy: oto człowiek, który stał się podobny do jednego z nas— *ecce Adam quasi unus ex nobis* — co jest ironią krwawą i raniącą, według św. Chryzostoma i innych tłomaczów.“

Pascal uzasadnia swe prawo do ironii, oprócz tego, jeszcze na przykładach z proroków i wielkich doktorów kościoła, jak św. Hieronim, Tertulian, Augustyn i in.

Ironia, jako odwrócenie myśli, była często używana w literaturze średniowiecznej (t. zw. Fabliaux), w „Satire Menippé,“ później w „Provinciales“ Pascala i w satyrach Swifta.

Dziś pojęcie ironii znacznie się zmieniło i rozszerzyło. Dawna figura retoryczna niesłychanie się wysubtylizowała. Dziś nazywamy ironią wszystkie wybiegi, za pomocą których pisarz stara się wyrazić odcienia swej myśli i umiarkować brutalność twierdzeń. Ironia stała się czemś tak nieuchwytnem, iż trudno ją określić. Polega ona na parafrazach i aluzyach, które hamują myśl, albo też unosi się koło myśli, tańczy, trzepocze płochem skrzydłem. Często jest paradoksem lub pozorną naiwnością. Niekiedy wreszcie przenika całą atmosferę moralną książki, stanowiącej jej czar tajemniczy. Ona rzuca światło na nowe, nieznane dawniej strony rozwijającej się uczuciowości ludzkiej. Weźmy kilka przykładów. U Renana ironia nie jest manierą literacką, lecz ogólnym stanem duchowym. Nie on wybiera ironię, aby lepiej wyrazić swą pogardę, swe zwątpienia i antypatye, lecz ona wżarła się w jego mózg, kieruje jego myślą i piórem. Istotnie, w pisarzu tym znajdujemy dwie osoby odrębne, które dla wspólnego pożycia muszą bezustannie zgładzać nazbyt rażące sprzeczności i czynić sobie wzajemnie ciągłe ustępstwa, szanować swe uprzedzenia i przesądy. Z jednej strony mamy Renana, zakochanego w cnocie, w pozach piękna moralnego i w złudzeniach ideału, z drugiej Renana, który po nad wszystko stawia naukę, rozum i metody doświadczalne i stara się doprowadzić do końca swe dzieło krytyczne. Pierwszy doradzał drugiemu tolerancyę i szanowanie cudzych przekonań, chociażby opartych tylko na głosie sumienia; drugi wyśmiewał pierwszego, szydził z jego powagi i romantyzmu. Stąd to bezustanne zastrzeżenia, obawy i paradoksy. Ta złożoność duchowa, ta dwoistość charakteryzująca wiele umysłów naszego czasu, musiała koniecznie wyrazić się w ironii.

U Heinego znajdujemy inny odcień ironii nowożytnej, którąby można było nazwać uczuciową. W charakterze jego spostrzegamy sprzeczność zasadniczą: ten Żyd wychowany był przez księży katolickich, ten poeta urodził się w rodzinie kupców, ten Niemiec spędził dzieciństwo w mieście zajętem przez wojsko francuskie, ten liberał zakochany jest w legendzie Napoleonowej, ten kosmopolita kocha z głębi serca swój kraj rodzinny.

Wszystkie te powikłania uczuciowe są jednak niczem wobec bolesnej historyi jego odepchniętej miłości: mamy w nim kochanka poniżonego, który w rozpaczy i smutku spogląda na miłość, jako na okrutną i śmieszną słabość — a z drugiej strony człowieka, który pomimo wszystko kocha życie, przyrodę i ludzi, wierzy w przyszłość. Mamy w nim ten sam kontrast entuzyasty i sceptyka, który widzieliśmy w Renanie. W Heinem także ironia była córką analizy. Tkwiły w nim dwie osoby, które się wciąż sprzeczają i wyszydzają — ich rozterka wewnętrzna jest źródłem ironi. Jeden zaczyna szydzić i naraz rozlega się krzyk rozpaczy drugiego. Albo też marzyciel, kochanek kwiatów, słowików i nocy księżycowych stara się utulić boleść zrozpaczonego. Ironia Heinego jest orężem strasznym, obosiecznym. Wreszcie trzecim wyrazicielem ironii współczesnej był Flaubert, autor powieści „Bouvard et Pécuchet.“ Autor jest zrozpaczonym romantykiem, odepchniętym suchością metod naukowych. „Nauka — powiada jeden z jego bohate-

*) Grundthatsachen des Seelenlebens.

rów — opiera się na danych zaczerpniętych z jednego kąta przestrzeni. Bardzo być może, iż nie jest ona w zgodzie z resztą wszechświata, której nie znamy, która jest daleko większą i której nie sposób odkryć!“

Żeby pokazać ciasnotę i jednostronność wiedzy ludzkiej, autor przeprowadza przed oczyma dwu swych bohaterów, którzy reprezentują ciekawość i miernotę współczesnej burżuazyi, wszystkie nauki, i oni spoglądają, zupełnie zbici z tropu, na upadek tych wspaniałych systemów, w które tak ślepo wierzyli. Agronomia, chemia medyczna, astronomia, historya, literatura, polityka, magnetyzm, filozofia, religia, pedagogika — wszystko to są olbrzymy oparte na glinianych nogach. I powieść jest ironicznem sprawozdaniem porażek, którym ulegają.

Ironia ta niczego nie wyśmiewa otwarcie. Autor opowiada myśli i zdania swych bohaterów w sposób objektywny. I cały komizm wypływa z kontrastu między pogodą pisarza a głupotą, ubóstwem myśli, które wykłada. Ten sposób ironizowania wprowadzony został do literatury przez Woltera, tylko że ten ostatni nie ukrywał swego uśmiechu za opowiadaniem, gdy Flaubert pozostaje zawsze niewidoczny. Stąd jego ironia zawiera gorycz bardziej natężoną.

Do jednego z tych trzech typów może być sprowadzoną większość ironistów naszego czasu. Anatol France naśladuje po części Renana, po części Flauberta. W dawniejszych swych dziełach szedł za pierwszym, w ostatnich dwu („l'Orme du Mail“ i „Le mannequin d'osier“) za drugim. Mamy tu doskonały obraz życia prowincyonalnego współczesnej Francyi. Bezosobową, cdległą ironię Flauberta można także odnaleźć w pięknych powieściach Pawła Hervieu. J. Lemaitre jest, jak wiadomo, uczniem Renana, również jak i M. Barrès, który jeszcze bardziej wysubtylizował elegancyę mistrza. Co się tyczy ironii sentymentalnej Heinego, przeniknęła ona w duszę naszego czasu i jest widoczna w powieściach, w teatrze, w całej literaturze. Należy jednak przyznać, iż życie ją zwyrodniło, pozbawiło akcentu tragicznego i sprowadziło często do zwykłej bufonady.

Takie są odcienie ironii współczesnej. Pomimo całego ich bogactwa można ją określić jako sposób pośredni wyrażenia pewnej myśli lub uczucia, który ma pokazać ich głupotę, niepewność lub gorycz. Myśl musi w tem przedstawieniu wydawać się jednocześnie i naturalną i fałszywą. Teorya ironii, którą tu wyłożyliśmy, należy do A. Hallays, jest ona w zupełnej zgodzie z teoryą śmiechu Melinanda. Ta ostatnia jednak, przy całej swej słuszności, ma stronę słabą. Autor uważa poczucie wyższości tylko za warunek bystrego pojmowania, które w pewnych okolicznościach jest źródłem śmiechu. My byśmy powiedzieli odwrotnie, iż poczucie wyższości — o ile usprawiedliwione — jest źródłem bystrego pojmowania i śmiechu. I pod tym względem należy powrócić do teoryi Darwina, uważającego śmiech za objaw szczątkowy, za ruchy mięśni twarzy, które oddalonemu przodkowi człowieka służyły do napaści i obrony. Istotnie, widząc istotę słabą, przodek ów używał odpowiednich mięśni i zwyciężał. Obecnie dzieje się to samo, tylko zwycięztwo przybrało formę pojmowania. Pojąć kogoś — znaczy zwyciężyć, nie za pomocą mięśni, lecz mózgu — jest to zwykła przemiana energii. Ale sprawa ta ma stronę odwrotną. Słaby bronił się niegdyś przeciw napastnikowi, używając tych samych mięśni. I dlatego dziś słaby śmiechem broni się, udaje silnego: jest to obłuda, pokrywająca naturalną słabość. Otóż silny zwyciężając, tj. pojmując, demaskuje słabego, rozumie zarazem i jego słabość i udawaną wyższość i śmieje się z zadowoleniem, gdy słaby *rie jaune*. Należy więc pamiętać, iż śmiech jest zawsze pojedynkiem dwu osób, z których jedna pojmuje drugą, gdy ta nie może się tem samem odwzajemnić, albo też dwu osób, które wzajemnie chcą się oszukać i wzajemnie się rozumieją. W dalszym ciągu śmiejemy się już nietylko z ludzi słabych, którzy bronią się, tj. udają silnych, ale także z każdej rzeczy, która zawiera w sobie stronę naturalną i fałszywą. Taką wydaje nam się prawdziwa podstawa psychologiczna śmiechu. Fizyologia okaże być może kiedyś, jakie prądy energii przytem się wyładowują, stanowiąc ulgę dla silnego i przygnębienie dla słabego. Widzimy także, iż śmiech nie zawsze jest dowodem wyższości. Owszem, słabi coraz bardziej starają się przykryć swą niższość pozorem pojmowania. Niema nic nieznośniejszego, niż ten bezustanny śmiech Francuzów: jest on tylko maską głupoty.

Dr. L. Winiarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Przybylskiego.

Przelotny ptak teatrzyku ogródkowego osiedlił się na stałe w Warszawie i za przybytek obrał sobie tymczasem salę łyżwiarzy w Dolinie Szwajcarskiej. Radzi, że wreszcie oprócz teatrów rządowych mamy jakiś nowy teatr, który przyczyni się do zaspokojenia wzrastających z każdym rokiem wymagań wielkomiejskich choćby co do samej liczby podobnych instytucyi, udajemy się do Doliny. W sali chłodno, pusto, ubożuchno. Na wypożyczonych kulisach widnieje „T. D.“ i jakby dla ironii godło: „Res sacra miser.“ Zasłona się podnosi, głosy aktorów, przyzwyczajonych do scen ogródkowych, rozchodzą się po pustej sali tubalnie, do ucha dobiega wciąż pogłos. Gra nierówna, w kilku rzutach wysuwa się na plan pierwszy lew trupy, p. Olszewski, zdolny, obiecujący aktor, choć już znać odcień wodewilowy. Wczoraj i dziś idzie Fredro, jutro Anczyc. Myśl, ta wiecznie łaknąca czegoś myśl, leci w przyszłość i pyta, co też da nam ten teatr? Co powinien dać? W jakim stosunku stać będzie do Rozmaitości? W jakim zaś stać powinien? Jakie ideały unoszą się przed oczami Przybylskiego? Co zamierza wyhodować z tej poczwarki? A jeżeli ma istotnie zamiary poważne, czy wytrwa, czy nie opuści go ta zmienna, kapryśna Warszawa? Mówiono i pisano wiele o potrzebie teatru ludowego, ale czyż dla przeciętnej *inteligencyi* nie jest doprawdy potrzebny jeszcze jeden teatr? Trudno nawet uważać za konieczne toczenie dalszych rozpraw na ten temat, gdy potrzeba drugiego teatru rzuca się poprostu w oczy. Sceny powinny się specyalizować. Jedna scena w tak dużem mieście, jak Warszawa, nie może właściwie wpłynąć na podniesienie się poziomu estetycznego publiczności. Tam, gdzie się gromadzą wszystkie żywioły w jednem miejscu, bierze zazwyczaj górę gust najmniej wybrednych, smak tłumu; jeżeli zaś publiczność ma możność wyboru, gdy teatr przestaje być „ein Maedchen für alles,“ gdy warstwy o różnych wymaganiach mogą uczęszczać do teatrów różnego tonu, wtedy zaiste lepiej zarówno dla tych warstw, jak i dla sztuki. Na zachodzie Europy specyalizacya doszła do tego, iż istnieją sceny, np. dla jednego jedynego arcydzieła, grywanego przez cały rok w niesłychanie wysubtelnioną starannością. Dotąd w Warszawie scena nie istniała właściwie dla literatury, tylko dla gry. Tragedya, dramat i wogóle kierunek poważny niema prawie historyi. Natomiast komedya od wielu, wielu lat kwitła wspaniale na scenie naszej i powstało nawet niedorzeczne mniemanie, że tylko w tym kierunku posiadamy zdolności. Gdy jeden teatr rozstrzygał o tem, nie mogło być inaczej. Tłum, tłum szukający w sztuce tylko zabawy, „krótkiej chwili,“ odstraszał tę ogromną część publiczności, która szuka w sztuce strawy dla umysłu. Znamy wiele, bardzo wiele literacko niepośledniо ukształconych jednostek, znamy ich może całe setki, które od lat nie bywają w teatrze, bo średniej wartości książka uczciwiej zaspokoi ich potrzeby estetyczne, niż różne „Męże z grzeczności“ lub „Zazdrośnice.“ Gdyby jednak tłumy szalejące za owymi „Mężami z grzeczności“ lub „Zazdrośnicami“ mogły sobie szaleć osobno, a jakiś teatr dawał tylko dzieła o znaczeniu literackiem, wtedy owi książkowcy wyszliby z ukrycia i gromadnie spieszyli tam, gdzie plastyka sceny daje najwyższy stopień artystycznej złudy i możność najsilniejszych wzruszeń estetycznych. Bo to jest bajka, że teatr nie może przypaść do smaku umysłom głębszym. Dotąd u nas istotnie nie przypadał, bo rzadko kiedy spełniał względem literatury swoje zadanie. Z chwilą, gdy spełniać je zacznie, stanie się on istotnie świątynią, podnoszącą poziom nawet obyczajów. Mniemamy przeto, że drugi teatr w Warszawie nietylko sam mieć powinien powodzenie, ale niezawodnie przyczyni się do rozwoju obecnie istniejącego, który dziś wiele ustępstw czynić musi tłumowi, a który w danym razie czynić ich nie będzie potrzebował.

Jeżeli Warszawa chce być istotnie wielkiem miastem, a nie dużem miastem, to powinna jakoś około tej swojej wielkości chodzić. Wielkość do niej nie przyjdzie, jeżeli się ona sama do niej nie pofatyguje. Wielkie miasta mogą mieć wielkie teatry tylko wtedy, jeżeli mają i małe; a jedna instytucya nie może być zarazem wielką i małą, albo powiedzmy, dla wielkich i dla małych. W tym wypadku mimo wysileń stanie się ona przytuliskiem tylko dla małych.

Jakie stanowisko zamierza zająć Przybylski? Zobaczymy. Życzymy mu w każdym razie powodzenia, bo leży ono w naszym własnym interesie. Mamy nadzieję, że Warszawa stanie na naszem stanowisku rozumowania i pojmie, że tu chodzi o nią samą.

Andrzej Niemojewski.

MALARSTWO.

S. Schneider. — Wł. Tetmajer. — Jose Garnelo.

Hasło „sztuka dla sztuki,“ które jeszcze stosunkowo niedawno rozpalało umysły i obiegało jako moneta szczerozłota, nietylko w świecie artystycznym, lecz i śród szerszej publiczności, staje się obecnie marnym liczmanem, powoli wycofywanym. Pamiętamy dobrze ten czas, gdy otwarcie szydzono z „tematu, ducha i treści.“ „Dajcie nam konia, psa, stół, drzewo, jednem słowe, byle co, lecz odtwórzcie to nam szczerze, prawdziwie, z talentem, a będziemy mieli arcydzieło.“ Biedny ten, uciemiężony „duch“ nie dał się jednak zdusić żadną doktryną i upomniał się wkrótce o swoje prawa. Reakcya, jak to zwykle bywa, zaznaczyła się nową krańcowością. Precz z formą! Mniejsza o wady kompozycyi, co tam błędy rysunku, fałsz i niedorzeczność kolorytu, byle sam temat targał nerwy swą gro-

zą, budził potężne wzruszenia, wywoływał ten jakiś dziwny, mistyczny dreszcz duszy! Więc kazano nam patrzeć na cały szereg dziwolągów, potwornych przez swą formę i widzieć w tem nowy powiew, nowy kierunek sztuki. W głowach pomieścić się nie chciała ta prosta i jak świat stara prawda, że tylko zupełna harmonia głębokiej wewnętrznej treści z możliwie doskonałą zewnętrzną szatą tworzy arcydzieła. Zrozumieć nie chciano, że najgroźniejszy, najbardziej wstrząsający temat nie wzruszy, jeśli artysta na tle panoramy niebieskich drzew przedstawi zieloną kobietę o pomarańczowych włosach i epileptycznie powykręcanych członkach — zupełnie tak samo, jak nie wywrze wrażenia idealnie pod względem technicznym wykończony obraz, w który artysta nie tchnął ani odrobiny ducha.

Podobne myśli budziły się mimowoli w głowie, gdyśmy w roku zeszłym oglądali u Krywulta „Tragedyę kobiety" Anny Castenoble. Oryginalnie pojęty, a przez to tem silniej działający tragizm doprowadziła artystka obrzydliwością formy do tych krańców, gdzie on graniczyć poczyna... z humorystyką. Wykazała nam Castenoble na swoich płótnach raz jeszcze dokładnie, jak to łatwo spaskudzić najwspanialszy temat nieudolnem wykonaniem.

Niektóre z tych uwag dałyby się zastosować również i do kartonów Schneidera, które, wędrując od lat kilku po świecie, zdecydowały się nareszcie zawitać w mocno zmniejszonym komplecie i do nas. Zauważmy przedewszystkiem, że to, co teraz oglądamy na wystawie, należy do najsłabszych rzeczy tego artysty; kto chce poznać rzeczywistego Saszę Schneidera, niech przejrzy cykl jego kartonów (trzecie wydanie u J. J. Webera w Lipsku), o których, z powodu wystawy berlińskiej, pisał już obszernie na tem miejscu p. L. Krzywicki.

Sasza Schneider — to jeden z przedstawicieli reakcyi, wymierzonej przeciw bagatelizowaniu ducha. Jemu przedewszystkiem chodzi o temat, o treść; to też maluje rzadko, koloryt nie pociąga go harmonią i pełnią barw, woli rysować; dla wywoływania złudzeń i efektów czysto malarskich wystarcza mu linia i światłocień. Fantazyę ma bujną, wyobraźnię bogatą, nie tę słoneczną, blasków i barw gorących pełną, heleńską à la Boecklin, lecz surową, w chłodnych mgłach Germanii północnej skąpaną, jaką mieli starzy mistrze niemieccy, Dürer i Holbein, którzy nań bez wątpienia wpływ największy wywarli. Kopalnią niewyczerpaną, z której pomysły swoje bierze, jest dla niego dusza ludzka; jej zgryzoty, bóle, rozterki sumienia, cierpienia potępionych — oto świat, w którym się najchętniej obraca. Takie upodobania, w połączeniu z wspomnianem bogactwem wyobraźni, musiały go pchnąć na drogę symbolizmu, i rzeczywiście jest Sasza Schneider symbolistą. Z tego więc punktu widzenia należy patrzeć na jego postacie. Chrystus, Judasz i in. to nie ludzie tacy, jakimi ich uczyniła historya i tradycya religijna, lecz czysto symbole. Symbolistyka Schneidera jest nieraz naiwną, tchnie baśnią ludową i bajką dziecinną, lecz prawie zawsze jest oryginalnie pomyślana w formie i wywołuje wrażenie. Głębokość treści i oryginalność pomysłu nie zawsze jednak łączy z subtelnością wykonania; wady kompozycyi i błędy rysunku rażą nieraz bardzo przykro.

Wszystkich prac Schneidera mamy obecnie w Salonie Krywulta siedem. „Władca asyryjski," „Książę wschodni," są to oryginalne i starannie wykonane studya, z których ostatnie przypomina starą szkołę. „Książę potępionych" — rzecz stanowczo zła i (co się u Schneidera rzadko zdarza) w pomyśle niejasna; dobrym jest tylko wyraz bólu na twarzy przykutego łańcuchami do marmurowego tronu „księcia." Dziwnym jest trochę i „Jan Chrzciciel," przedstawiony w postaci nagiego młodzieńca, o rozwartych do krzyku ustach, z wysokim porochem w kształcie krzyża w ręce. Ma on być wyobrazicielem tej siły, przez którą chciał świat zbawić, nim nań spłynie miłość i miłosierdzie. Lecz, co gorsza, ma ten Jan fatalnie narysowaną prawą nogę, spłaszczoną w udzie i zupełnie zwichniętą w kolanie. Do rzeczy bynajmniej nieimponujących należy również i „Nierówną bronią." Brak harmonii kolorytu, plastyki figur i perspektywy sprawia, że płótno to mijamy obojętnie; zatrzymują tylko nieco twarze obydwu apostołów brutalnej siły i miłości dobrze pochwyconym wyrazem twarzy, zbyt jednak twardo i niedbale pod względem technicznym wykonanych. Dwa tylko kartony mogą dać niejakie pojęcie o rodzaju talentu twórcy; to „Zgryzota" i „Spełniło się." Treść obu tych dzieł znana jest czytelnikom *Prawdy*. W „Zgryzocie" okropna jędza—góra o dymiącej się głowie, gnie herkulesowemi ramiony młodzieńca siedzącego u trumny ojca. Jędza ta o potwornie wielkich, wstrętnych piersiach, z których ludzkość ssie od wieków morze cierpienia i goryczy, doskonała jest jako pomysł i symbol. Natomiast strona techniczna kartonu pozostawia wiele do życzenia. Przedewszystkiem całość jest jakaś zamazana i wykonana niedbale, lewe ramię i prawe udo, pomimo silnego skrótu perspektywicznego i pozycyi siedzącej, wyglądające jak spuchnięte, są zupełnie fałszywe w rysunku; jedynie prawdziwą jest twarz trupa. I w „Spełniło się" pomysł jest przejmujący. Ten ukrzyżowany Chrystus, zabijający jednem spokojnem, głębokiem spojrzeniem porywającego się nań z groźną piszczelą w ręku tytanicznego ducha złego, przykuwa mimowoli wzrok i myśl. Tutaj trudno dostrzedz jakikolwiek błąd rysunkowy, natomiast tkwi w samej kompozycyi jakaś wada organiczna, polegająca, zdaje się, na zbytniem oddaleniu od siebie tych dwu figur, rzuconych na olbrzymi karton, może połączonych nawet tem jednem przedziwnem spojrzeniem oczu Zbawiciela, lecz nietworzących ściśle treścią spojonej grupy; mimowoli chce się rozciąć karton i wykroić zeń dwa oddzielne przepiękne studya.

Ma Schneider jeszcze jedną własną swą oryginalną cechę. Z całego tłumu nagich przezeń stworzonych postaci nie wyłania się ani jeden miękki, wdzięczny o liniach falistych kształt niewieści. Lubuje się on, jak Michał Anioł, w tych twardych, ogromnych, jak ze spiżu oddanych, muskularnych ciałach męzkich, których w takiej obfitości i z tak do rzeźby zbliżoną plastyką nie przedstawiano chyba od czasów greckich. Nawet z Chrystusa czyni olbrzyma, jak gdyby w myśl zasady, że potężny duch tylko w równie potężnem może przebywać ciele...

O ile wybaczyć można artyście pewną niedbałość formy, gdy wlewa w swe dzieło bogactwo treści, nie zapominajmy przytem, że jest on artystą młodym, niemal że początkującym, o tyle pogodzić się z nią trudno, gdy obrany przez malarza temat jest sam w sobie tak prosty, że tylko w połączeniu z wykwintnością wykończenia może wywołać wrażenie. Utwierdza nas raz jeszcze w tem Włodzimierz Tetmajer. Że ma on talent duży i prawdziwy — o tem przekonać się łatwo; dość rzucić okiem na jakikolwiek jego obraz („Grajki," „Z pola," „Przed burzą," „Piast"), lecz jakże po macoszemu traktuje artysta ten swój „dar Boży"! Każde płótno Tetmajera — to znakomity, doskonale rzucony, wybornie „podmalowany" szkic do obrazu, lecz żadne nie przedstawia dzieła skończonego. Popatrzcie tylko na jego „Grajków" z tak subtelnie oddaną grą światła i cienia, na jego „Z pola" o głębokiej perspektywie, pełnej powietrza i z doskonałemi w ruchu wieśniaczkami, na „Przed burzą" ze znakomicie pochwyconym nastrojem natury i tak prawdziwym pośpiechem kończących robotę żeńców — co by z tego wyszły za dzieła, gdyby je artysta jeszcze przez czas jakiś w pracowni potrzymał i sumiennie wykończył. Czy tkwi w Tetmajerze jakaś gorączka tworzenia, niepozwalająca mu dłużej nad jedną rzeczą się zatrzymać, czy też jakaś pogarda „roboty" — trudno określić. Artyści nieraz kpią z t. zw. w ich gwarze „wylizania," mieszając z niem zupełnie niesłusznie sumienność w pracy i poszanowanie sztuki. Proszę tylko popatrzeć na album Meissoniera, proszę tylko obejrzeć muzeum Matejki, a zobaczycie ile to szkiców, studyów powstawało wprzódy, nim się ci dwaj wielcy, genialni malarze cośkolwiek za dzieło skończone uznać odważyli. Ta tradycya pracy, niestety, coraz bardziej zanika.

Bezwątpienia jest prawdą, że sama sumienność nie wystarczy, gdy komu przyroda odmówiła zdolności. Mamy żywy tego przykład na Jozém Garnelo. Jego „Procesya (czy „Pielgrzymka") w Sewilli," którąśmy w zeszłym roku w salonie Krywulta oglądali, pomimo ogromu włożonej w nią pracy, wprost cuchnęła pleśnią i chłodem szkolarstwa i akademii. Niewiele lepszego da się powiedzieć i o jego obecnie wystawionem „Lourdes." Ten artysta ma paletę, ma farby, płótna, kredki i ołówki, ma nawet i specyalne wykształcenie malarskie, ma jednem słowem wszystko — oprócz talentu; jemu praca mało pomoże. Pisma obrazkowe, ilustrujące chwilę bieżącą, mają zwyczaj posyłania rysowników w miejsca publiczne, celem chwytania ołówkiem życia w ruchu, „na gorącym uczynku." Potem zjawiają się w nich drzeworyty, na których ludzie poznają nieraz siebie i miejsca, z któremi łączą się ich wspomnienia; podobne rysunki są to wprost fotografie, w których rolę kliszy gra oko i ołówek artysty. Wyobraźcie sobie teraz, że jakaś, dajmy na to, „Ilustration" paryska wysłała pana José Garnelo do miejsca, gdzie się Bernadecie zjawiła Matka Boża, i że on, przez pomyłkę, wziął z sobą pędzle zamiast ołówków, a będziecie mieli pojęcie o jego „Lourdes." Jest to zwyczajna, nawet dość marna ilustracya kolorowa do pisma obrazkowego. Są tam ruszające się i padające na kolana postacie, lecz niema ani ruchu, ani rozmodlenia; są ręce wzniesione do góry i szeroko otwarte usta, lecz niema ani zachwytu, ani ekstazy; są wreszcie ludzie, zdrowi i chorzy, lecz niema ani jednego żywego człowieka. Po co i dlaczego sprowadzono do nas to płótno? Zapewne dlatego i poto, aby módz na ogromnych afiszach wydrukować również ogromnemi literami: „*wielkie* (rzeczywiście bardzo duże) *hiszpańskiego* malarza." Te dwa podkreślone słowa mają podobno dla tłumu bardzo pociągający urok...

Michał Mutermilch.

SPRAWY EKONOMICZNE

NIECO Z ETYKI I EKONOMII.

III. Oszczędność prywatna i marnotrawstwo społeczne.

Autor książki „O oszczędności," o ile chodzi o pojęcia ogólniejsze, zadawała się powtarzaniem komunałów pospolitej ekonomii politycznej,

która odznaczała się i odznacza niezmierną płytkością sądów. I muszę dodać, że ogólniki te w przyodziewku swojskim bynajmniej nie grzeszą świeżością: są to twierdzenia mieszczańskich ekonomistów okresu mijającego, którzy jeszcze przed wzrokiem swoim nie mieli ani karteli i rozwiniętych huraganów rynkowych, ani instytucyj ubezpieczeń państwowych w rodzaju niemieckich i duńskich. Znajdujemy tam nawet ustępy, jak niżej przytoczony: „Jak za czasów wojen napoleońskich każdy żołnierz nosił w swoim tornistrze buławę marszałkowską, tak samo i dziś, kiedy usunięte zostały przywileje i monopole prawne, kiedy urodzenie, ani stan nie stanowią przeszkody do wspinania się na najwyższe szczeble społeczne, każdy robotnik ma w pracy swojej i oszczędności środki zdobycia milionów i wysokich stanowisk.“ Na poparcie tego twierdzenia przytoczono — Franklina i Stephensona. Mają oni służyć za dowód przekonywający dla r. 1898, w którym nawet zasobni kapitaliści bywają w Stanach Zjednoczonych wyrzucani ze sfery produkcyi, jeśli nie wchodzą do trustu, powstającego w ich zawodzie, lecz pragną na własną rękę zdobywać miliony. Tymczasem ze słów P. Kirszrot-Prawnickiego możnaby mniemać, że owe miliony są tak dostępne, iż dość schylić się, ażeby mieć je już w kieszeni.

Ostatecznie, czem jest oszczędność i jakie rodzi skutki? Naturalnie mamy na myśli jej formy prywatne, te, o których jest mowa u Smiles'ów *et tutti quanti*, nie zaś społeczną, niezbędną do tego, ażeby produkcya mogła wzrastać i zaspakajać potrzeby również wzmagającego się ilościowo zastępu członków spójni narodowej.

Może dziwi kogoś nasz pogląd, ale musimy z całą stanowczością oświadczyć, że uważamy oszczędność, uzasadnianą w formie zwykle zalecanej, za hasło antyspołeczne, tj. powstrzymujące rozwój wyższego poziomu potrzeb i nawyknień. Wykazaliśmy, że bardzo znaczna część oszczędności, dokonanych przez jednostki, idzie na marne w zamęcie tegoczesnego życia społecznego lub chybia celu w inny jeszcze sposób. Zapobiegliwość więc tego rodzaju, będąc objawem, utrzymującem społeczeństwo na niższym szczeblu cywilizacyi, jest nadto niekiedy nadaremnem wysiłkiem, po prostu czerpaniem wody rzeszotem. Zaznaczając to, ani chwili nie chcemy zaprzeczać faktowi, iż, wobec ukształtowania stosunków, które każdą osobę stawia luzem i każe jej ponosić ujemne skutki wpływów życia, ta zawada postępu kulturalnego staje się zasadniczem przykazaniem gospodarstwa domowego. Ekonomia pospolita nigdy nie miała odwagi poddać tej sprzeczności pomiędzy charakterem prywatnym a społecznym oszczędzania należytemu rozbiorowi i zaspakajała się czczą frazeologią na temat obowiązków. Rozwijająca się instytucya emerytury państwowej i ubezpieczeń na wypadek choroby, a nadto projektowane urządzenia pomocy w braku możności zarobkowania może przyczynią się do śmielszego oświetlenia kwestyi.

Winniśmy zaznaczyć jeszcze inny rys charakterystyczny wywodów ekonomii dotychczasowej co do rozpatrywanego przedmiotu, mianowicie że ci sami, którzy w krasomówczym zapędzie nie szczędzą frazeologii, gdy chodzi o szerzenie cnoty uszczuplania potrzebom chwili bieżącej, i w oszczędności widzą zaletę nad zaletami, ani jednem słówkiem nie potrącają rozrzutności, właściwej tegoczesnemu okresowi gospodarczemu.

Z całą stanowczością możemy powiedzieć, że nie znamy społeczeństwa rozrzutniejszego, niżeli epoka industryalizmu nowoczesnego, a zarazem więcej prawiącego morałów na temat oszczędności. Mieszczaństwo z przekąsem odzywa się o lekkomyślności szlachty średniowiecznej, która przejadała cały dochód, nie zadając sobie trudu odłożenia czegoś na gorsze czasy. A przecież ów okres w gruncie rzeczy mniej trwonił dorobku społecznego, niż nasza doba; cała różnica na tem polega, iż czynił to hałaśliwiej i nie za kulisami życia świadomego, tylko jawnie i szczerze. *Faux frais* społeczne bowiem w naszej epoce anarchii rynku wzrosły do przeraźliwej wysokości. Zibor obliczył, jeśli mnie pamięci nie myli, że, z powodu produkowania przedmiotów dla nieznanego i zarazem niepewnego odbiorcy, około jednej czwartej wytworzonej wartości ginie marnie: jedne towary butwieją od zleżenia, inne rdzewieją lub w inny sposób niszczeją, wreszcie pewna znaczna część wartości przepada podczas przesileń, gdy ceny produktów spadają nieraz poniżej kosztów wytwarzania. Mamy wrażenie, że powyższa cyfra, tj. jedna czwarta, jest wygórowana. Ale gdyby, przy sumienniejszem zbadaniu rzeczy, okazało się, że w podobny sposób ginie chociażby jedna ósma i nawet jedna dwudziesta, to i wtedy marnotrawstwo, którego industryalizm systematycznie dopuszcza się, byłoby olbrzymie. Oszczędności prywatne, w stosunku do społecznej, odgrywają rolę różniczek, w sumie swojej dających przyrost bogactwa narodowego i używanych na podsycanie zwiększonej produkcyi. One to więc ostatecznie zostają roztrwonione w formie zleżałych i wogóle nadgryzionych przez ząb czasu towarów lub obniżonej ich wartości, niepokrywającej lub zaledwie pokrywającej koszty. Wychodzi więc na to, że pojedyncza osoba oszczędza tylko w tym celu, ażeby część jej uzbieranych wysiłków została rzuconą w błoto!

Albo weźmy inny przykład.

Ten i ów, uciuławszy nieco grosza, przez odmawianie sobie, zakłada samodzielny proceder: sklepik lub warsztat. Doświadczenie codzienne nas uczy, że często, po paru latach, ogołocony z funduszów musi porzucić obrane zajęcie. Niema statystyki, która podawałaby nam wiadomość o liczbie i napięciu takich wysiłków, nieuwieńczonych powodzeniem. Obliczono dla Paryża, że przynajmniej jedna trzecia istniejących w tem mieście piekarzy przejada swoje fundusze, a zbankrutowawszy, ustępuje miejsca innym, których ten sam los czeka w większości przypadków.

Coś podobnego spotykamy w każdej sferze dzisiejszego życia gospodarczego. Może gdzieś, w pobliżu śpichlerza ze zbożem, przymiera z głodu cała rodzina, bo, z braku zarobku skazana na przymusowe próżniactwo, nie ma za co kupić chleba, a tymczasem właściciel składu zbożowego bankrutuje skutkiem niemożności wyprzedania zapasów. Bywają nawet lata, w których fermer na dalekim zachodzie Stanów Zjednoczonych palił w piecach ziarnem pszennem, ponieważ taki opał kosztował go taniej, niż sprowadzenie węgli kamiennych. Tak samo trwonioną jest zdolność człowieka do pracy: znaczna część siły roboczej, którą kraj pewien rozporządza, może nawet jakaś dziesiąta, pozostaje bez zajęcia, skazana na niedostatek z braku zarobku, chociaż rzeki w nim domagają się regulacyi, brakuje dróg, nie ma dostatecznej liczby budynków, tj. istnieją zakresy potrzeb, do zaspokojenia których mogłaby być zastosowaną.

Są to wszystko *faux frais* społeczne, rzucające się w oczy nawet przy powierzchownem wejrzeniu. Istnieją przecież i inne nie tak widoczne, chociaż również dotkliwe.

Towar, zanim dojdzie od wytwórcy do rąk spożywcy, odbywa mnóstwo niepotrzebnych kołowań i zakrętów, podnoszących jego koszty.

Produkcya w kraju tylko w pewnej liczbie przedsiębiorstw jest utrzymywaną na poziomie najlepszych, tj. najwydajniejszych metod, w innych posługuje się sposobami przestarzałymi, i znowu wypada tam zużyć większą ilość wysiłku, niż gdyby rzeczy stały inaczej.

Odpadki wielkomiejskie, zastosowane należycie, zamieniłyby się na źródło zwiększonej wydajności pól naszych, a tymczasem giną bezpłodnie — nie!—nie bezpłodnie, bo zakażają wody rzek i powietrza i sprzyjają szerzeniu się epidemij.

Słowem, w którąkolwiek stronę skierujemy wzrok swój, wszędzie spostrzeżemy wyuzdane marnowanie możliwego bogactwa, zawartego w mięśniach ludzkich, trwonienie otrzymanych produktów, lekceważenie skarbów przyrody lub odpadków życia. Ekonomia pospolita ani razu nie uwzględniła, w całej rozciągłości, tej rozrzutności społecznej; krytyczna, acz wskazała jej istnienie, przecież nie zdołała ująć jej w cyfry, któreby dały chociaż przybliżone pojęcie o napięciu nieprodukcyjnych wydatków gospodarstwa narodowego. Kto wie, czy, przy szczegółowszym obrachunku, nie okazałoby się, iż połowa pracy społecznej jest takim roztrwonionym rzeczywiście lub potencyalnie wysiłkiem. I cóż, wobec takiego rozpraszania sił narodu, znaczą zalecane oszczędności! Przyznamy, się że odwracanie uwagi do tej strony życia gromadnego, tj. od analizy różnych *faux frais* społecznych, i skierowywanie jej ku zaletom oszczędzania prywatnego, poczytywać powinniśmy po prostu za grzech ciężki. Znachorów, piszących takie recepty, przyrównalibyśmy do gospodarza, który troskliwie zważa, ażeby w kuchni nie palono zbytecznej szczapy drzewa, ale w tym samym czasie tnie bez miłosierdzia las i pozwala sągom drzewa masowo gnić na słocie.

Ekonomiści posiadają parę mamideł, któremi, jak kuglarze, igrają przed społeczeństwom. Są to różne pomoce własne, oszczędności — mniejsza o litanię tych środków. Z pośród nich — ze stanowiska gospodarstwa społecznego, którego nie mieszam z prywatnem — tylko pomoc własna odznacza się dodatniejszymi przymiotami. Naturalnie nie zdoła ona sprawiać cudów, o które ją posądzają, zwłaszcza gdy opiera się na pojedynczym wysiłku. Ale ma jedną dobrą stronę, mianowicie wyrabia dzielne, energiczne charaktery, przyzwyczajone nie oglądać się na kogokolwiek i wierzące w swoje siły. Wartość kulturalna narodu, jego prawa do przyszłości, są w stosunku prostym do obfitości takich zaufanych w siebie natur. Oszczędność nie posiada tej zalety. Tam, gdzie rozpanoszyła się w społeczeństwie, wierna receptom znachorów, stwarza pigmejów ducha, hołdujących małym ideom. Kraj najoszczędniejszy na globie, Chiny, jest zarazem najuboższy w tężyznę, a jego członkowie, ci arcymistrze odmawiania sobie i gromadzenia mienia, nie wiem o ile są zdolni być nawet bezimienną mierzwą dziejową postępu, póki będą hołdowali cnotom spokojnego wołu. Ktoś stworzył paradoks, że tylko szczęśliwe ludy nie miewają historyi. Z podobną słusznością możnaby twierdzić, iż wzrost masowy umiejętności oszczędzania prywatnego wśród mas narodu nietylko obniża potrzeby kulturalne, ale także zwęża polot ducha. Ludy, robiące dzielnie postęp poziomu życia codziennego, nie grzeszą zbytnią oszczędnością, tylko napiętą pracą. Jako przykład moglibyśmy przytoczyć yankee'w. Wolę już skąpca, bo z sknerstwem chodzi w parze jakaś namiętność. Oszczędność zaś drobnomieszczańska, to przejaw ekonomiczny filozofii złotego środka, cofającej się przed wszelkiem nowatorstwem i uwielbiającej rutynę.

. . . .

Rozbiór pewnych założeń książki p. Kirszrot-Prawnickiego zaprowadził nas dalej, niż to było pierwotnie w naszym zamiarze. Mniemamy jednak, że robota ta nie będzie nadaremną. Ogólniki, których dotknęliśmy, tak wżarły się w umysły, iż zamieniły się na dogmaty wiary społecznej, acz są tylko najpospolitszymi przesądami. Wykazać ich właściwy charakter uważaliśmy za rzecz niezbędną, ponieważ, w innych okolicach, mianowicie w Stanach Zjednoczonych, nastąpił kompletny zwrot w poglądach ekonomii politycznej na ten przedmiot, a my wciąż jeszcze przeżuwamy okruszyny, które spadły przed laty kilkudziesięciu.

K. R. Ż.

W DALI.

Radom. *Gazeta Radomska* podaje następujące szczegóły o nowej instytucyi, która powinna dać przykład mieszkańcom innych okolic kraju. Z inicjatywy p. Szymona Konarskiego, w roku zeszłym powstała w okolicy Klimontowa myśl założenia Towarzystwa pożyczkowo-wkładowego. Sprawą tą zajęli się: p. Konarski oraz pp.: Maksymilian Skotnicki, Lucyan Zaleski i dr. Zysman. Dnia 11 maja r. b. ministeryum skarbu, ustawę, z bardzo niewielkiemi zmianami zatwierdziło. Według brzmienia ustawy, członkami Towarzystwa mogą być osoby płci obojej, mające prawo rozporządzać własnym majątkiem, zamieszkali w Klimontowie i okolicy, w promieniu 30 wiorst. Promień ten obejmuje prawie dwa powiaty: Sandomierski, Opatowski i część Stopnickiego. Z kasy korzystać mogą, oprócz ludności wiejskiej, także ludność miasteczek i osad gęsto rozrzuconych w okolicy, np. (Ożarów, Ćmielów, Opatów, Sandomierz, Klimontów, Koprzywnica, Osiek, Połaniec, Staszów, Kurozwęki, Iwaniska, Bogorya) Towarzystwo udziela pożyczek krótkoterminowych do wysokości 600 rubli za poręczeniem. Bez poręczenia, członek spółki otrzymać może najwyżej 150 rubli. Fundusze swe Towarzystwo czerpie: z udziałów 100-rublowych, które każdy członek obowiązany jest wnieść i z wkładów. Od lokowanych kapitałów Towarzystwo płaci w pierwszym roku $5\frac{1}{2}\%$. Wkłady od członków przyjmowane są od 10 kop. do 1,000 rubli. Udziały storublowe mogą być wniesione jednorazowo, lub też ratami po 2 ruble 50 kop. kwartalnie. Wkłady zabezpieczone są solidarnem poręczeniem członków do wysokości dziesięciokrotnej. Członkowie balotowani są przez ogólne zebranie lub przez radę. Interesami Towarzystwa zarządza rada, złożona z sześciu członków, oraz zarząd, z trzech członków i dwóch zastępców. Pierwsze ogólne zebranie członków nowozałożonego Towarzystwa odbyło się w Klimontowie dnia 20 sierpnia r. b., w mieszkaniu dr. Zysmana. Od dnia tego kasa Towarzystwa zaczęła być czynną. W zebraniu tem uczestniczyło 53 członków, przeważnie ze sfery inteligencyj wiejskiej. Uczestniczy złożyli, tytułem udziałów, 2,982 rubli 50 kop. Biuro Towarzystwa mieści się w domu właściciela apteki, p. Franciszka Rzepeckiego. Za zwrotem marki pocztowej, zarząd interesowanym chętnie udziela wszelkich informacyi. Listy należy adresować: „Do Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Klimontowie, gubernii Radomskiej.“ Grono członków Towarzystwa powiększa się stale, biorą w niem udział ludzie ze wszystkich sfer społeczeństwa. I dziś, zaledwie po 18-dniowem istnieniu tej pożytecznej instytucyi, korzystają z niej już ludzie, którzy, pomimo surowego prawa o lichwie, zmuszeni byli płacić po 2% miesięcznie od pożyczek, zaciągniętych w krytycznej chwili u bankierów miejscowych.

Kamieniec Podolski. W d. 8 b. m. w Winnicy odbyło się pierwsze posiedzenie nowej instytucyi, Towarzystwa rolniczego podolskiego. Zjazd uczestników do Kamieńca był znaczny. Na prezesa Towarzystwa wybrano Anatola ks. Gagarina, na wiceprezesa Tadeusza hr. Grocholskiego, na członków rady pp.: Starorypińskiego, Orlikowskiego, Jakubowskiego, Buszczańskiego, Sobańskiego, Szczoniowskiego, Mańkowskiego, Jodkę, Stanisława hr. Grocholskiego, Russanowskiego, Glinkę, Skowrońskiego, a na sekretarza p. Feliksa Lubańskiego.

Petersburg. W komunikacyi syberyjskiej mają być wprowadzone znaczne udogodnienia. *Torg. prom. gaz.* donosi, że urządzony w r. b. pociąg bezpośredni Moskwa-Tomsk przeważnie krążył bez pasażerów, pomimo wyjątkowych wygód, graniczących ze zbytkiem. Przyczyny tak małego ruchu organ ministeryum dopatruje się w nieregularności rozkładu pociągu i w małej liczbie stacyi. Postanowiono więc usunąć te braki. Pociąg stale będzie wychodził z Moskwy co sobota o godz. 7 m. 35 wieczorem i przybywał do Tomska w piątki o godz. 1 m. 21 po południu, w drodze zaś pozostawać będzie 5 dni, kursować zaś z szybkością 25 wiorst na godzinę, licząc już i postoje. Z Tomska pociąg wychodzić będzie w piątki (o godz. 1 m. 51). przybywać zaś do Moskwy we czwartki (9 wieczorem). Jednocześnie, wraz z rozkładem zimowym jazdy, pociąg będzie się zatrzymywał na kilkunastu stacyach, gdy tymczasem dotąd na przestrzeni 4,000 wiorst było przystanków zaledwie 8. Do nowych stacyi zaliczono np. Tajgę, ważny punkt dla podróżnych, jadących dalej w głąb Syberyi, do Krasnojarska i Irkucka. Na stacyi Tajga pociąg ma się rozdzielać: połowa wagonów pójdzie do Tomska, druga — do Irkucka. Wreszcie, pociągi kurjerskie mają kursować nietylko od Moskwy, ale i w granicach kolei Syberyjskiej, mianowicie między Ufą a Tomskiem. Zwiększenie liczby stacyi, na których odbywać się będzie sprzedaż biletów, ma na względzie wzrost ruchu osobowego. — Niedawno *Nowoje Wr.* zamieściło rozpaczliwy list pewnej nauczycielki, opisującej opłakany stan szkółki ludowej. Pismo zaznacza, iż w jęku tym odzywa się głęboka nuta nędzy ludowej. Istotnie jest to nędza wielka — śród mroków. *Żizń i iskustwo* zaznacza, że w Kijowie na 18,000 dzieci zaledwie 8,000 może się pomieścić w szkółkach, reszta 10,000 — ma zamknięte podwoje przybytków oświaty. Mniej więcej taki sam stosunek panuje wszędzie. Na pociechę możemy dodać to, że ministeryum oświaty, jak zapewnia *Wiest. Wospitania*, zajęte jest organizacyą zbiorowych kuratoryów szkolnych. Nie wiemy dokładnie, co to będzie za instytucya, ale przypuszczamy, że zajmie się ona dokładnem i rzetelnem zbadaniem potrzeb oświaty w całem państwie. — *Prawit. Wiestnik* ogłosił wynik śledztwa w sprawie znanych wypadków w Andiżanie. Winnych urzędników administracyi miejscowej Najwyżej rozkazano ukarać w sposób taki: B. gubernatorowi wojennemu obwodu fergańskiego, dymisyonowanemu generał-lejtnantowi Powało-Szwejkowskiemu, naczelnikowi powiatu Omskiego, pułkownikowi Zajcewowi, i wszystkim naczelnikom powiatów, z których pochodzili napastnicy na obóz — udzielić nagany; naczelników powiatów Margelańskiego i Andiżańskiego, pułkownika Porjanoba, podpułkownika Koiszewskiego, i komisarza rewiru Ossakińskiego, kapitana Jenikowa — złożyć z urzędu i zaliczyć do zapasu; zwierzchników włości i aułów, których mieszkańcy uczestniczyli w rozruchach — usunąć, dopuszczając wyjątek dla zupełnie godnych. Krajowcowi Karabek-Kasanowowi, który zawczasu uprzedził naczelnika powiatu Omskiego o przygotowywanym napadzie, dano pensyę dożywotnią po 300 rb. rocznie. — Korespondent *Swieta* z Rygi donosi: „Kultura bałtycko-niemiecka kończy tutaj swój żywot. Wyrasta natomiast nowa, rosyjska, która ma całą przyszłość przed sobą. W ostatnich zwłaszcza latach „robota rosyjska“ w tym kraju wielkie poczyniła postępy, zarówno na polu ekonomicznem, jak i w zakresie oświaty. Żywioł rosyjski coraz bardziej się tutaj utrwala, wzmacnia i rozwija, zdobywając kulturą swoją coraz szersze widoki.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według danych władz centralnych, liczba głuchoniemych i ociemniałych w całem państwie wynosi 200,000.

— *Warsz. Dniewnik* notuje dwa wypadki rabunku pod miastem i zaznacza, że nieustannie dochodzą go skargi na brak bezpieczeństwa w okolicach Warszawy, z powodu niedostatecznej liczby straży ziemskiej.

Szkoły. Ministeryum oświaty opracowywa plan stałych wycieczek uczniów w celach wychowawczych.

— Instytut elektro-techniczny w Petersburgu ma być przekształcony na wyższy zakład naukowy.

— W Tomsku otwarto pierwszą na Syberyi szkołę gospodarstwa wiejskiego.

— Na zebraniu Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego w Warszawie d. 30 b. m. poruszona będzie sprawa założenia szkoły pszczelniczo-ogrodniczej w Brwinowie wraz z internatem, dla włościan.

— Specyalna szkoła przyrodoznawstwa wraz z muzeum okazów z dziedziny zoologii, botaniki i mineralogii ma być wkrótce otwarta w Petersburgu.

Zdrowie publiczne. Przy warszawskim Instytucie oftalmicznym będą urządzone oddziały ruchome do leczenia w całem Królestwie Polskiem chorób ocznych. Zorganizowaniem tych oddziałów i wyszukaniem środków na ich utrzymanie zajmie się komisya specyalna.

— Rada Towarzystwa hygienicznego zatwierdziła już regulamin, złożony z 54 paragrafów, nadto celem opracowania ogólnych działów hygieny, postanowiono utworzyć 7 wydziałów: 1) biologiczny; chemiczno-fizyczny i statystyczno-meteorologiczny 2) wydział hygieny wychowawczej; 3) hygieny zawodowej i przemysłu; 4) hygieny ludowej; 5) hygieny zdrojowisk i miejscowości klimatycznych; 6) hygieny szpitali i przytułków; 7) hygieny miast i mieszkań. Każdy wydział ma opracować pojedyncze kwestye z zakresu danej gałęzi hygieny i prace swoje komunikować radzie.

Prasa. Tygodnik *Życie*, założony przez Ludwika Szczepańskiego, następnie nabyty przez Sewera Maciejowskiego i Górskiego, znowu przeszedł w inne ręce. Pismo ma być dwutygodniowe o zwiększonej objętości. Kierownictwo działu literackiego objął Stanisław Przybyszewski.

Konkurs. Konkurs na rzeźby, które mają ozdobić gmach Towarzystwa sztuk pięknych, przedłużono do 20 listopada r. b.

Wystawy i zjazdy. W r. 1900 odbędzie się w Brukselli kongres międzynarodowy w sprawach więziennych. Jako przedstawiciel Rosyi w kongresie uczestniczyć będzie naczelnik głównego zarządu więziennego, rz. r. st. Salomon. Kongres ma być podzielony na 4 sekcye, które zajmą się sprawami, dotyczącemi prawa karnego, opieką nad małoletnimi itd. Między innemi rozpoznawane będą następujące kwestye: 1) Jakie środki są najbardziej skuteczne w walce z szantażem i czy nie należałoby ustanowić specyalnej procedury przy sądzeniu przestępstw tego rodzaju. 2) Czy należy urządzać domy poprawcze dla małoletnich przestępców w ten sposób, jak to jest praktykowane w Stanach Zjednoczonych. 3) W jaki sposób powinna być urządzana w więzieniach służba sanitarna.

— W skład komitetu polskiego na XIII-ym międzynarodowym zjeździe lekarskim w Paryżu 1900 r. wejdą z Poznania: dr. Franciszek Chłapowski, dr. Heliodor Święcicki i dr. Artur Jaruntowski.

— Na wystawie r. 1900 w Paryżu wybitne miejsce zajmie dział górnictwa rosyjskiego, który na placu wystawowym ma dla siebie przeznaczonych 1,600 metrów kwadr. Przemysł węglowy polski również będzie uwzględniony; główne miejsce zajmie Towarzystwo sosnowickie; w przemyśle żelaznym jedno z pierwszych miejsc oznaczono dla Huty Bankowej.

— Zwołano pierwsze okręgowe zjazdy młynarskie: w Odesie i Kijowie, który zogniskował interesy młynarstwa gub. Kijowskiej, Wołyńskiej, Czernihowskiej, Charkowskiej, Jekaterynosławskiej i Połtawskiej. Postanowiono starać się jeszcze o

przyłączenie do tej grupy gub. Podolskiej, ażeby tym sposobem ogarnąć interesy całego okręgu południowo-zachodniego.

Koleje i komunikacye. Od Nowego Roku na kolei Wiedeńskiej służba parowozowa ma być powiększona o 30 maszynistów i tyluż pomocników etatowych.

— Otwarcie ruchu prawidłowego na kolei Syberyjskiej do Irkucka nastąpi 13 stycznia r. p.

Przemysł i handel. Rosyjskie Towarzystwo hodowli ryb i rybołówstwa otrzymało pozwolenie na założenie oddziału w Warszawie. Działalność jego obejmuje całe Królestwo Polskie. Oddział ma prawo urządzać odczyty publiczne, wystawy, muzea, zakłady hodowli ryb, ogłaszać wydawnictwa peryodyczne i inne. Członkowie są honorowi, rzeczywiści i korespondenci. Pierwsi wnoszą corocznie na rzecz oddziału po 5 rb. lub jednorazowo przynajmniej 70 rb. Siedzibą zarządu jest Warszawa.

— Zatwierdzono spółkę rolników w Homlu.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od ognia ziemian gub. Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej.

— Wiele okolic kraju dotknął nieurodzaj kartofli, których ceny skutkiem tego poszły w górę. W okolicach Ciechanowa i Nasielska po 1 rb. 80 kop. za korzec. Niektórzy obywatele sprowadzają kartofle aż z Sokolowa gub. Siedleckiej, gdzie cena wynosi rubla. Najbardziej ucierpi na nieurodzaju ludność uboga, dla której kartofle są najważniejszym produktem spożywczym. Niektórzy ziemianie podwyższyli służbie ordynaryę (ilość korcy żyta).

Dobroczynność. *Kuryer Warsz.* donosi, iż grono obywatelek z za rogatek Grochowskich postanowiło zwrócić się do zarządu przytułków noclegowych o bilety na noclegi, które byłyby rozdawane w zimie nędzarzom zamiast jałmużny. Okazało się bowiem, że jest wielu takich, którzy nie mają nawet kilku groszy i muszą nocować w różnych kryjówkach.

Katastrofy. D. 12 b. m. pociąg pospieszny, który wyruszył z Petersburga do Wierzbołowa, rozbił się o godz. 11 wieczorem pomiędzy stacyami Mszinskaja a Preobrażenskaja. Dwu konduktorów bagażowych poniosło szwank. Podróżni nie ucierpieli.

— Pod przylądkiem Lizard, przy południowo-zachodnim brzegu Anglii, rozbił się angielski parowiec transatlantycki „Mohegan," który odbywał dopiero drugą podróż za ocean. Podróżnych było 180, z tych ocalało 50. O losach reszty nie wiadomo.

Zmarli. Franciszek Jastrzębiec Czarnomski, profesor hodowli roślin i rolnictwa na wydziale rolniczym uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Октября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8